[illegible] Cena 1 zł. W Czechosłowacji 3·50 Kč. 12 marca 1932. Nał. poczt. opł. gotówką. Numer zawiera 24 stron. Rok IX

ŚWIATOWID

NR 11

NARCIARSKIE MISTRZOSTWA POLSKI.



W dniach 4, 5, 6 i 7 marca b. r. odbyły się w Zakopanem XIII. Międzynarodowe Mistrzostwa Polski w narciarstwie. Tytuł mistrza na rok 1932 zdobył Stanisław Marusarz z Zakopanego (Sekcja Narciarska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego). Na zdjęciu od lewej: Stanisław Marusarz, Izydor Łuszczak, wicemistrz Polski i Piotr Kolesar.

Ag. fot. „Światowida".

NA KROKWI W ZAKOPANEM.

W tych dniach rozegrano w Zakopanem zawody o narciarskie mistrzostwa Polski. Odbyły się one przy idealnej pogodzie i przy nader sprzyjających warunkach śnieżnych, skupiając całą elitę polskiego narciarstwa, a ponadto gości z Czechosłowacji i Węgier. Szkoda tylko, że nie startował Bronisław Czech, który na Olimpjadzie w Lake Placid, zakwalifikował się jako siódmy narciarz świata.

W ogólnej klasyfikacji o mistrzostwo Polski zdobył pierwsze miejsce Stanisław Marusarz, młody i bardzo ambitny zawodnik, który w skokach osiąga stale powyżej 60 m., a ponadto odznacza się szaloną odwagą i wytrzymałością fizyczną.

Skoki należą dzisiaj do najbardziej emocjonujących zawodów sportowych. Można było się o tem przekonać, śledząc w niedzielę zainteresowanie, z jakiem tysiączne tłumy obserwowały popisy swoich faworytów. Naturalnie trzy czwarte ich, to Zakopiańcy, a znikomy tylko procent przedstawiciele Śląska, Lwowa czy Krakowa.

Jedno uderzało! Od zeszłego roku zawodnicy poczynili wprost olbrzymie postępy, przedewszystkiem we formie. Widać, że praca trenera norweskiego Per Klykkena nie poszła na marne. Sam Klykken skacze doskonale, ale prawie nigdy powyżej 50 m.



W kole:

Marusarz Jan w skoku.

Obok:

Trybuny sędziowskie na Krokwi.

Poniżej:

Stanisław Sieczka, posiadacz rekordu Krokwi (63 m.), dotychczas niepobitego. Obok niego (po lewej) sekretarz Klubu sportowego „Wisła".

ZDJĘCIA AG. FOT. „ŚWIATOWIDA".

Z polskich skoczków poza Bronisławem Czechem, bezkonkurencyjne miejsce zajmują Stanisław Marusarz i Łuszczek, a ponadto Kolessar.

Nakoniec jedno życzenie pod adresem organizatorów zawodów. Dlaczego dotąd nie usunięto drzewa, rosnącego u podnóża Krokwi? Jest ono niepotrzebne, przedewszystkiem dlatego, że zupełnie zasłania widok i uniemożliwia obserwację skoków i jest wręcz niebezpiecznem dla zawodników, którzy straciwszy równowagę, rulują.

OTWARCIE ZBIOROWEJ WYSTAWY MAURYCEGO GOTTLIEBA W KRAKOWIE.

Z początkiem marca b. r. otwartą została w salach Muzeum Narodowego w Krakowie wystawa prac Maurycego Gottlieba, największego malarza żydowskiego w Polsce, którego twórczość przerwana niestety niespodzianą śmiercią w 23 wiośnie życia, przypada na drugą połowę ubiegłego stulecia. Wystawa ta jest hołdem złożonym pamięci mistrza, którego pięćdziesiąta rocznica zgonu minęła przed trzema laty. Specjalny Komitet zawiązany w tym celu zgromadził pokaźną liczbę 94 prac artysty, pochodzących z różnych polskich muzeów i zbiorów prywatnych, przedewszystkiem krakowskich (najbogatsza kolekcja dr. Beresa). Na widok tych kompozycji historycznych, religijnych oraz portretów zdumiewa nas spontaniczna siła twórcza młodego talentu, który już u progu życia zdobywa sławę wielkiego mistrza.

Maurycy Gottlieb urodził się w Drohobyczu we wschodniej Małopolsce. Tu wrażliwą wyobraźnią chłonie rodzicielską atmosferę tradycyj żydowskich, które wyryły w duszy dziecka niezatarte ślady, określiły drogę jego twórczości i snuły się następnie we wszystkich jego znaczniejszych utworach.

Już jako chłopiec na ławie szkolnej cieszy się sławą doskonałego rysownika. W pogoni za wykształceniem artystycznem zeszły mu lata młodzieńcze na wędrówce po różnych akademjach i środowiskach malarskich. Jako szesnastoletni młodzieniec wstępuje do Akademji wiedeńskiej.

Był to w dziejach malarstwa europejskiego okres, lubujący się przedewszystkiem w przedstawianiu wielkich momentów przeszłości dziejowej oraz ilustrowaniu scen z wybitnych dzieł wielkiej poezji. Kierunek ten panował zarówno w Krakowie, w Wiedniu jak i w Monachjum.

Po jednorocznym pobycie we Wiedniu powraca do Krakowa i tu ulega potężnej indywidualności Matejki, którego „Rejtan" oglądany na wystawie we Wiedniu wstrząsnął nim do głębi.

Pobyt Gottlieba w Krakowskiej Akademji z przyczyn od niego niezależnych nie trwał długo. Opuszcza Kraków i udaje się do Monachjum, gdzie kształci się pod Pilotym, który stał się wówczas ośrodkiem sztuki niemieckiej, przyciągającej artystów z zagranicy. W Monachjum w r. 1876 powstaje główne dzieło Gottlieba „Szajlok i Jessyka". Artysta przedstawił tu ten moment z dramatu Szekspira, w którym Szajlok, kupiec wenecki zaproszony na ucztę, odchodzi, a przy pożegnaniu oddaje klucze domu córce swej, pięknej Jessyce. Dzieło należy do rzędu arcydzieł dzięki monumentalności układu postaci, ich kontrastowej kolorystyce i szczerej głębokiej poezji, którą tchnie. Jessyka jasna, świetlista przylgnęła do starca, z którego twarzy pooranej ciężką troską życia wygląda tłumiona tkliwość ojcowska. A ileż niewysłowionej melodji w pochyleniu głowy Jessyki, ileż napięcia duchowego w mistrzowskim układzie jej palców. Dzieło to tak niewyszukane w ruchu, w geście i w mimice, a tak suggestywne w swej prawdzie wywarło na współczesnych niezatarte wrażenie i odbiło się głośnem echem w krytyce. Gottlieb objawił się tu jako genjalny liryk.

Z Monachjum powraca znowu do Wiednia. Pracuje w Akademji pod kierunkiem Angeli'ego, wielbiciela Makarta. A Makart to bożyszcze ówczesnego Wiednia, mistrz niezrównany zewnętrznego efektu i dekoracyjnego przepychu szczegółów.

Tu powstaje drugie wybitne dzieło Gottlieba: Uriel Akosta i Judyta van Straaten. Są to bohaterowie dramatu Gutzkowa„ opiewającego pełną poświęcenia miłość Judyty i siłę jej uczucia. Judyta ucieleśniała ideał kobiecy Gottlieba. Jest więc obraz czemś więcej niż ilustracją poematu Gutzkowa, jest pamiętnikiem osobistym, jest wyzwoleniem tych pragnień, które skutkiem nieszczęśliwej miłości nie miały być nigdy spełnione.

Szczegóły kostjumowe i akcesorja, jak: futra, materje, koronki, tiule i perły zlewają się w doskonałą harmonję z liryczną treścią dzieła i wytwarzają atmosferę świąteczną. Odświętna cisza panuje w twarzach i ruchach rąk i atmosfera otoczenia jest świąteczna.

Następują dzieła treści biblijnej o motywach wschodnich: „Arab", „Handel niewolnicami" w Kairze, „Chrystus przed sądem", „Chrystus nauczający w Kafarnaum" i „Święto pojednania". Wszędzie poprzez lekkie wpływy Makarta i Matejki przebija styl indywidualny, wszędzie też przewija się wśród tłumów jedna i ta sama postać o szlachetnie wykrojonym profilu, uduchowionym wyrazie twarzy, świeżych, łaknących życia, wydatnych ustach, dużych czarnych rozmarzonych oczach, niespokojnie dokoła siebie wodzących, jakby wiecznie czegoś szukały; to postać samego artysty.

Gottlieb odznaczył się nietylko jako twórca kompozycyj monumentalnych, ale również jako doskonały portrecista, a portrety Ignacego Kurandy, prezesa gminy żydowskiej we Wiedniu, oraz portret Emila Beresa z Krakowa należą do dzieł najwybitniejszych. Są one zwięzłą charakterystyką człowieka, wyrażającą jego stan społeczny, jego rasę i syntezę jego przeżyć. Jest w nich w formie skondensowanej podkreślony zarówno ogólny typ psychiczny jak i przeżycia indywidualne.



Głowa szlachcica podolskiego, obraz olejny Gottlieba, własność dr. Rudolfa Beresa w Krakowie.

Nieukojona tęsknota, gorączka twórcza gnała artystę z miejsca na miejsce. W r. 1878 udaje się do Rzymu. Tu spotyka się z Polonią artystyczną, z Siemiradzkim i Matejką na czele, przyjmowany przez wszystkich bardzo serdecznie. W stolicy budzą się potężne idee. Powstają wielkie dzieła, oparte o tematy z historji biblijnej. Na zachętę uwielbianego mistrza Jana Matejki powraca do Krakowa i tu w 23 wiośnie życia dosięga go przeznaczenie.

Cała twórczość Gottlieba jest wyrazem jego silnej uczuciowości. Wizjoner o płonącem sercu wycsikał na wszystkiem, do czego się zbliżał, piętno poetyckiego uroku i głębokiego uczucia. Był artystą w wielkim stylu i o szerokim rozmachu. Kraków, prastara siedziba sztuki, który Gottliebowi dostarczył najsilniejszych podniet artystycznych, w którym znalazł ojcowskiego opiekuna Jana Matejkę, oddaje mu dzisiaj hołd zbiorową wystawą jego dzieł. Wystawa ta jest manifestacją sił twórczych rasy, która wydała artystę, jest zarazem manifestacją artystycznej kultury Krakowa i jej wielkiej siły przyciągającej.

Władysław Terlecki (Kraków).

PODRÓŻ MARSZ. PIŁSUDSKIEGO DO EGIPTU.

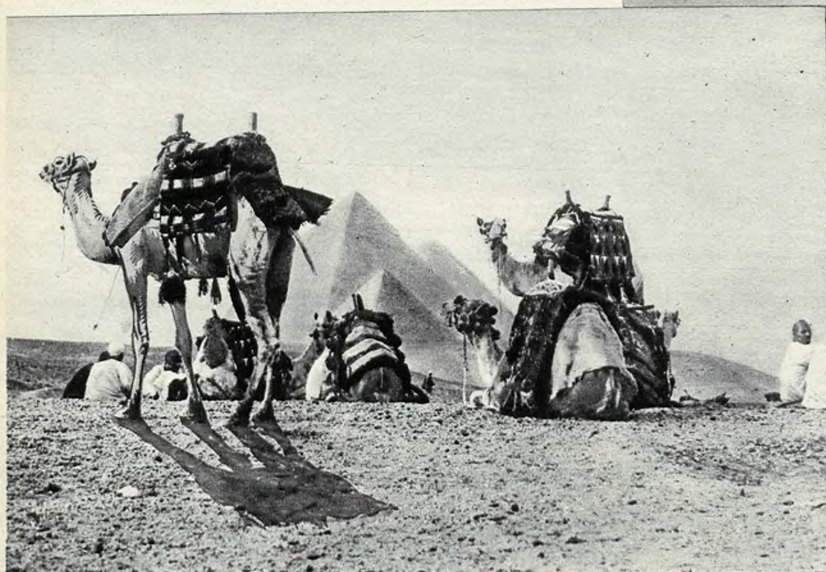
W tych dniach Marsz. Józef Piłsudski opuścił Warszawę i udał się zagranicę, aby przepędzić tam kilka tygodni. Pierwszym etapem podróży Marszałka była Rumunja. W Konstancy, porcie czarnomorskim siadł Marsz. Piłsudski na okręt „Romania" w towarzystwie swojego lekarza przybocznego płk. Woyczyńskiego i znanego podróżnika kpt. Lepeckiego, kierując się do Konstantynopola, a następnie do Egiptu.

W roku zeszłym o tym czasie Marsz. Piłsudski przebywał na Maderze.

Obok: Marszałek Józef Piłsudski, wchodzący dn. 3 marca na okręt rumuński „Romania" w porcie Konstancy. Po prawej stronie p. Marszałka kpt. Lepecki, po lewej kapitan okrętu.

Poniżej: Karawana wielbłądów u stóp piramid egipskich.





POLA NEGRI SKŁADA WIZYTĘ KONSULATOWI GENER. R. P. W CHICAGO.



Pola Negri przeżywa renesans swej sławy.

Po małżeństwie z panem Mdivani, przyjętem przez opinję publiczną kwaśno, po perypetjach rozwodowych, które również nie wzbudziły w świecie entuzjazmu, wielka artystka powróciła na właściwą drogę swej karjery — na ekran!

Zapowiedź tego powrotu do filmu przyjęta została u nas z dużem zaciekawieniem, niepozbawionem cech pewnego niepokoju — czy wielka Pola, po tyloletniej pauzie, podoła nowym wymogom filmowej sztuki? Czy się nie załamie? Czy wstępnym bojem zdoła odzyskać swój pryzmat wśród gwiazd?

Pytaniom tym prasa amerykańska daje triumfalną odpowiedź — Pola Negri swym nowym filmem, który teraz wyświetlają właśnie kinoteatry w Stanach Zjednoczonych, z miejsca odzyskała „tytuł i rangę" i z miejsca zajaśniała pełnym blaskiem powodzenia i sławy. Nie potrzebujemy zapewniać, jak nas wszystkich cieszy triumf sławnej Polki.

Ale w tych zmiennych losach życia tej wielkiej artystki, jest jednak jeszcze jeden szczegół znamienny, który warto podkreślić. Pola Negri, jako dama światowa, jako żona „księcia" Mdivani, kasztelanka pałaców francuskich, silnie się była oddaliła od wszystkiego co polskie. Takie przynajmniej odnosiliśmy wrażenie my, tutaj w kraju.

I oto jej powrót do sztuki jest jak gdyby zarazem powrotem do polskości. Pola, objeżdżając obecnie Stany Zjedn., bardzo wyraźnie i bardzo gorąco akcentuje na każdym kroku swą polskość i swe przywiązanie do dawno niewidzianej ojczyzny — odwiedza polskie instytucje i polskie pisma, była obecna na meczach naszych hokeistów, zapowiada swój przyjazd na Boże Narodzenie do Polski i zamiar założenia w Warszawie, w swem rodzinnem mieście schroniska dla sierót.

Na tle tych przemian zrozumiałe się staje zdanie, które czytamy w jednym z ostatnich numerów pisma polsko-amerykańskiego „Wiadomości Codzienne" w Cleveland: „Ci, którzy atakowali Polę za śluby i rozwody, terazby przed nią palta swe rozłożyli na ziemi, aby po nich stąpała".

Pola Negri, po triumfalnym powrocie na ekran, objeżdża Stany Zjednoczone A. P. wszędzie bardzo wyraźnie i bardzo gorąco akcentując swą polskość i interesując się życiem Polonji amerykańskiej. Na naszem zdjęciu widzimy ją, składającą wizytę Konsulatowi generalnemu R. P. w Chicago. Na prawo konsul generalny Tytus Zbyszewski — na lewo zastępca konsula generalnego, wicekonsul Tadeusz Buynowski.

GDYNIA ZIMĄ.

Dopiero od pewnego czasu nad Gdynią i wogóle całem wybrzeżem rozparła się w całym swym majestacie urocza zima. Prześliczna zatoka i tchnący dzikością brzeg pod Oksywiem jak również pod Kamienną Górą tonie w śnieżnej bieli, budząc cichy zachwyt i upojenie pięknością.

Na tem urwistem wybrzeżu, obok którego z taką dumą rozsiadło się miasto, dopiero odczuć można cały czar i nieśmiertelne piękno przyrody polskiego morza.

Gdynia czeka obecnie na swego malarza — tyle tam teraz dla niego motywów. Dla literatury i poezji leżą tu niewyczerpane skarby, które czekają, by je zakląć w cudną naszą mowę.

Ze wzniesienia, na którem stoimy, można dojrzeć dachy natłoczonych domów, las masztów, stojących burta przy burcie okrętów, zastygłych w bezruchu, zda się skamieniała straż zaklęta... Wdali szeroki bezmiar wód, śpiewa im hymn radości.

Na czystem niebie, którego jedna połowa mieni się od barw pomarańczowych, złocistych i purpurowych, a druga spokojna, tonie w różowych odblaskach zimowego słońca, w miejscu, gdzie cały ten bezmiar barw zasuwa się w ciemność, wznosi się karmazynowa chmura dymów, bijących z tętniącego życiem i gwarem portu. Wprawdzie nie dolatują nas stamtąd przeciągłe nawoływania marynarzy i tragarzy, lecz odgłos potężnie skrzypiących żórawi i dźwigów, stukot maszyn, gwizd syren i zgrzyt łańcuchów rozlega się daleko w ciszy zimowego poranka. Praca wre w całej pełni — bez przerwy, czy to dzień czy noc. Ładuje się na okręty ogromne masy węgla, które na nadbrzeżach portu tworzą całe góry brył. Praca jest wszędzie zmechanizowana, a kilkudziesięciu robotników, kręcących się pod dźwigami, ogranicza pracę swą do czynności, którą tylko ludzkie ręce wykonać mogą. Przy hali rybnej obecnie panuje największy ruch, gdyż odbywa się tu wzmożona praca przeładunkowa przywożonych masami ryb. Obok hali stoi sznur wagonów-lodowni, odwożących załadowany towar w głąb kraju. Czynną również dzień i noc jest łuszczarnia ryżu — ograniczone są tylko częściowo ze względu na śniegi i mrozy, prace przy dalszej budowie portu. Na niektórych jednak odcinkach widzi się wagoniki z ziemią, przewożoną do robót niwelacyjnych, oraz robotników, zatrudnionych przy pracach pogłębiarskich i td.

Mimo ogólnej stagnacji, port gdyński wykazuje w każdym dniu wzmożony ruch okrętowy, a miasto tętni życiem wielkomiejskiem. Na głównych arterjach miasta, mieszczących sklepy kupców, widzi się wprawdzie, że kryzys gospodarczy daje się i tu we znaki, jednak nie w takiej mierze, jak to ma może miejsce gdzieindziej.

Od czasu do czasu ożywia się Gdynia wycieczkami, które napływają z kraju. Są to przeważnie wycieczki różnych szkół wojskowych. Większa ilość wycieczek młodzieży szkolnej spodziewana jest podczas feryj wielkanocnych, jak również w pierwszych dniach kwietnia.

Miasto jest dobrze zagospodarowane i stale się rozrasta. Dowodem dzielnica Gdyni Grabówek, oraz Kamienna-Góra. Na Grabówku powstaje szereg placówek kulturalnych. szkoły morskie, gimnazja itp. oraz instytucje przemysłowe, gdy znowu na Kamiennej-Górze tworzy się wspaniała dzielnica nawskroś willowa, w Oksywie zaś dzielnica portowa i wojskowa. Obecnie wrą przygotowania do prac budowlanych, jakie na wiosnę zostaną podjęte.

Alfred Świerkosz.

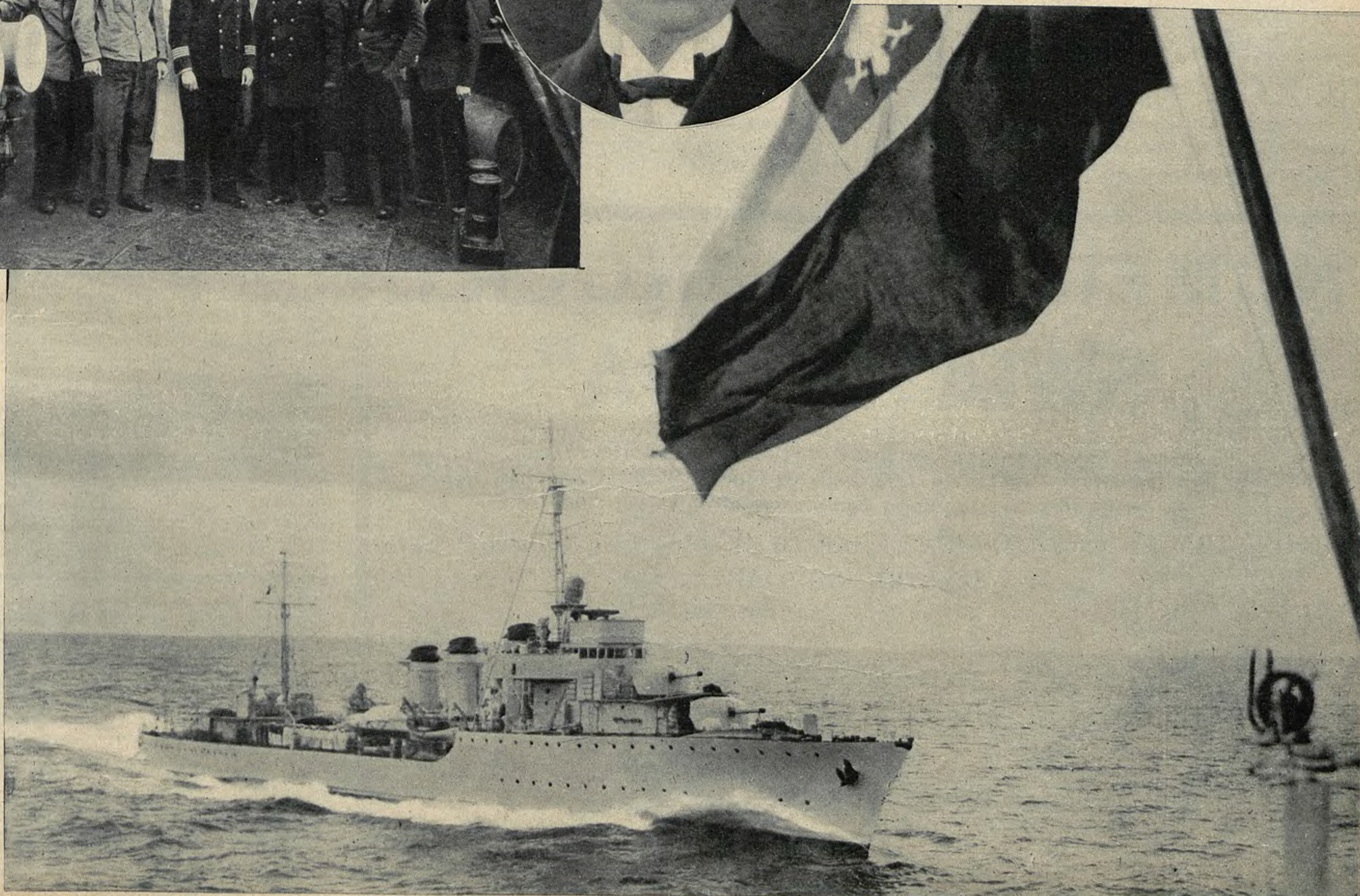


W tych dniach odbyło się w Gdyni poświęcenie nowego okrętu handlowego „Cieszyna". Zdjęcie przedstawia załogę „Cieszyna" z kpt. Kniaziewym na czele.

Fot. „Awe", Gdynia.



W kole: Komendant portu w Gdyni kpt. Zaleski od 1923 r. na zajmowanem stanowisku czuwa nad porządkiem w porcie.



Obok: „Wicher" kontrtorpedowiec polskiej marynarki wojennej w porcie gdyńskim. Na pierwszym planie polska bandera morska, powiewająca dumnie nad Bałtykiem.

Ag. Fot. „Światowida".

PADEREWSKI IMPERATOR.

Widok na salę w Madison Square Garden w Nowym Jorku, gdzie mistrz Paderewski, „największy w świecie" pianista, jak pisały dzienniki amerykańskie, dał największy w świecie" koncert, który zgromadził najliczniejszą w świecie" publiczność (16.000 osób) i przyniósł „największy w świecie" dochód (25.000 dolarów).

Ostatnie, obecnie jeszcze trwające tournée artystyczne Ignacego Paderewskiego po Ameryce, przynosi mistrzowi nieprzerwane pasmo triumfów, nienotowanych dotychczas w kronikach artystycznych świata.

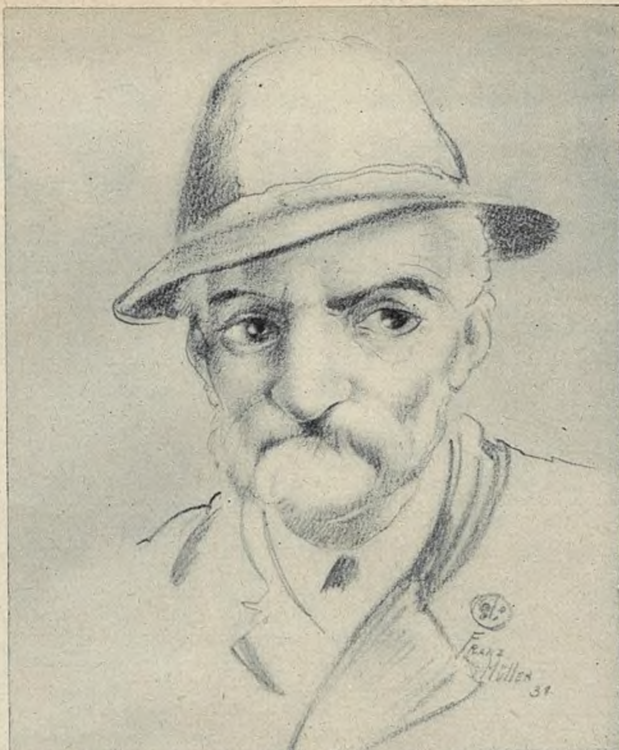
Krytyk najpoważniejszego pisma amerykańskiego „The New York Times" w dłuższym, entuzjastycznym artykule tak pisał m. i. po występie mistrza w Nowym Jorku: „Urok, jaki Paderewski wywiera na publiczność, nie stracił nic z mocy. Zaledwie usiadł przy instrumencie i uderzył, zwyczajem swoim, w pierwsze silne akordy, publiczność odrazu uległa jego czarowi. W ciągu przeszło 30-tu lat, odkąd po raz pierwszy wystąpił w Ameryce, przemijali pianiści, przemijały całe szkoły gry fortepianowej, ale zmiany te nie wpłynęły na jego sztukę i jej walory. Ponad krytykę wszelką wyrasta jego olbrzymia postać, pozostaje wielki artysta, któremu tłumy dalej oddają hołd. Paderewski Imperator! On tylko jeden jedyny!"

Tak było w Nowym Jorku, tak było w Waszyngtonie, tak było w Filadelfji, tak było wszędzie, gdziekolwiek wielki artysta brał dusze ludzkie w krąg swego czaru.

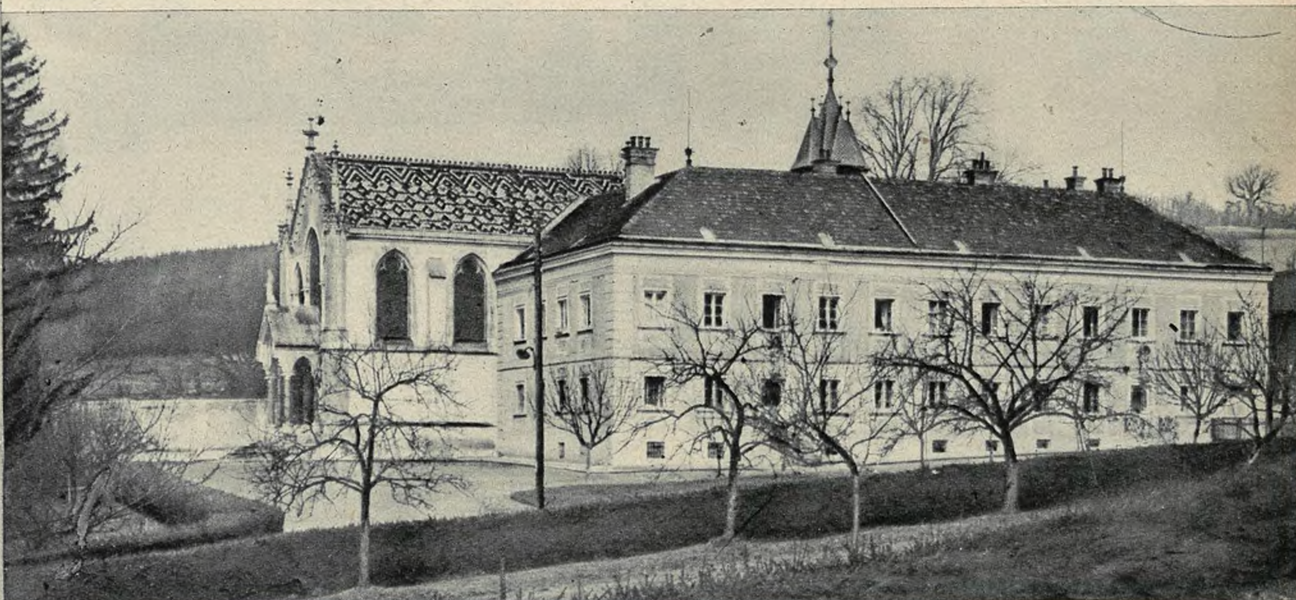
Lecz może jeszcze bardziej znamienne jest ustosunkowanie się świata wielkich i możnych w Ameryce do pobytu mistrza w Stanach Zjednoczonych. Oto jeden fakt. Jeden z najwyższych dygnitarzy potężnej republiki, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Curtis, na polecenie prez. Hoovera utworzył w Waszyngtonie „Komitet przyjęcia Ignacego Paderewskiego", celem wyrażenia mistrzowi imieniem rządu republiki oficjalnego uznania za urządzenie pięciu koncertów na dochód bezrobotnych. W skład komitetu wchodzili prezes Najwyższego Trybunału Hughes, sekretarz stanu Stimson, wdowy po prezydentach Stanów Zjednoczonych pp. Wilson i Taft, rektorowie waszyngtońskich uniwersytetów i szereg innych osobistości, dających w swym składzie nieomal oficjalną reprezentację władzy prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej państwa oraz nauki i dobroczynności amerykańskiej.

O koncercie w Madison Square Garden w Nowym Jorku pisały dzienniki amerykańskie, iż był to „największy w świecie" koncert „największego w świecie" pianisty, który zgromadził „najliczniejszą w świecie" publiczność i dał „największy w świecie" dochód.

TAJEMNICA WIERNEGO KAMERDYNERA.



Jan Loschek, b. kamerdyner i nadworny strzelec arcyks. Rudolfa, zmarł niedawno w Klein-Wolkersdorf w Austrji. Szkic rysunkowy, z ostatnich dni życia Loschka.



Zameczek w Mayerlingu, zamieniony obecnie na sierociniec, gdzie rozegrała się tragedja arcyksięcia Rudolfa i baronówny Veczery dnia 30-go stycznia 1889 roku.

W małem miasteczku austrjackiem Klein-Wolkersdorf zawrzało jak w ulu. Otto jedna z najpopularniejszych postaci, sędziwy b. kamerdyner i strzelec nadworny arcyksięcia Rudolfa, Jan Loschek, zmarł nagle, licząc 87 lat. Zgon staruszka wywołał zrozumiałą sensację nietylko w Klein-Wolkersdorf oraz w Lanzenkirchen, gdzie syn jego pełni obowiązki burmistrza, lecz w całej Austrji, ba w całym świecie, dokąd tylko dotarła dramatyczna historja śmierci jedynego syna Franciszka Józefa I, spadkobiercy jednej z najpiękniejszych koron w ówczesnej Europie. Jan Loschek był bowiem jedynym pozostałym dotychczas przy życiu naocznym świadkiem tragedji w Mayerlingu, która niewątpliwie wpłynęła decydująco na zmianę losów monarchji austrjacko-węgierskiej, a może nawet Europy środkowej.

Przez szereg lat pełnił Jan Loschek funkcje kamerdynera arcyksięcia Rudolfa i stale znajdował się w pobliżu jego osoby. Dzięki uprzejmości i taktownemu zachowaniu się, które okazał podczas przechadzki cesarzowej po ogrodach w Schönbrunnie, częstując ją szklanką wody, zrobił niebywałą na owe czasy karjerę. Z małego ogrodniczka został kamerdynerem arcyksięcia i jego nadwornym strzelcem, niemal zaufanym powiernikiem.

Gdy po tajemniczej śmierci arcyksięcia, do dziś dnia nie wyjaśnionej, mimo licznych romantycznych wersyj, z których każda przedstawia się niemal zupełnie inaczej, zdruzgotany nieszczęściem cesarz wezwał do siebie kamerdynera syna, Jana Loschka, wówczas ten złożył przysięgę, że nigdy nie zdradzi nikomu tajemnicy związanej z wypadkami w Mayerlingu. Za dyskrecję nagrodził cesarz wiernego sługę dobrami pod Klein-Wolkersdorf, które pozostały w posiadaniu rodziny Loschków do dnia dzisiejszego.

Przyznać należy, że Loschek wywiązał się ze swego zobowiązania bez zarzutu. Mimo, że b. kamerdyner zdołał nabyć wykształcenie i posiąść kilka języków, które przydały mu się w jego licznych i dalekich podróżach, nikt nie zdołał wydostać od niego tajemnicy, jakgdyby zamkniętej na dziesięć pieczęci. Amerykańscy reporterzy urządzali na Loschka zasadzki wszelakiej natury. Usiłowano spoić go szampanem, obiecywano mu godności i zaszczyty, kuszono go olbrzymiemi sumami, lecz wszystko daremnie. Nawet długoletnią przyjaźń poświęcił Loschek dla honoru. — Gdy pewnego razu lekarz w Klein-Wolkersdorf, jego przyjaciel i towarzysz od najwcześniejszych lat, starał się już po przewrocie przekonać go w restauracji podczas wesołej kolacyjki, że po upadku monarchji dyskrecja już go nie obowiązuje, Loschek wstał bez słowa i opuścił lokal, w którym nigdy odtąd nie postała jego noga. Zdarzyło się nawet, że członkowie dynastji Habsburgów, przebywający w Ameryce, ofiarowali mu w imieniu nakładców amerykańskich olbrzymie sumy, jeżeli opowie to, co widział owej obfitej w historyczne następstwa nocy. Loschek z powagą odparł, że skoro raz przysiągł, nic nie zdoła go nakłonić do złamania danego słowa.

Jest rzeczą ciekawą, a może nawet pozostającą w związku z tajemnicą zgonu arcyksięcia, że podczas balsamowania zwłok Rudolfa uległ Loschek tak ciężkiej infekcji, ,iż tygodniami walczył ze śmiercią. Gdy wyzdrowiał, wezwał go cesarz ponownie do siebie i nakazał, aby zniszczył wszystkie dokumenty, pozostające w związku z aferą miłosną arcyksięcia Rudolfa. Podobno to zarządzenie podyktowała cesarzowi troska o pewność tajemnicy, w której posiadaniu był Loschek. Niektórzy twierdzą, że Loschek podczas choroby wypowiedział w gorączce kilka zdań, rzucających światło na zajścia w Mayerlingu.

A jednak dzieje śmierci Rudolfa nie zeszły do grobu wraz ze zgonem wiernego kamerdynera. Syn jego, burmistrz w Lanzenkirchen, Jan Loschek, oświadczył, że ojciec podyktował mu przed kilkoma miesiącami swe pamiętniki, które zawierają dokładny opis zajść w Mayerlingu, towarzyszących śmierci arcyks. Rudolfa. Pamiętniki te, podpisane przez dwóch świadków, leżą przechowane w ogniotrwałej kasie w ratuszu w Lanzenkirchen. Narazie nie będą jeszcze opublikowane. Ujrzą światło dzienne, kiedyś po latach, gdy mogiła wiernego kamerdynera porośnie bujną zielenią...

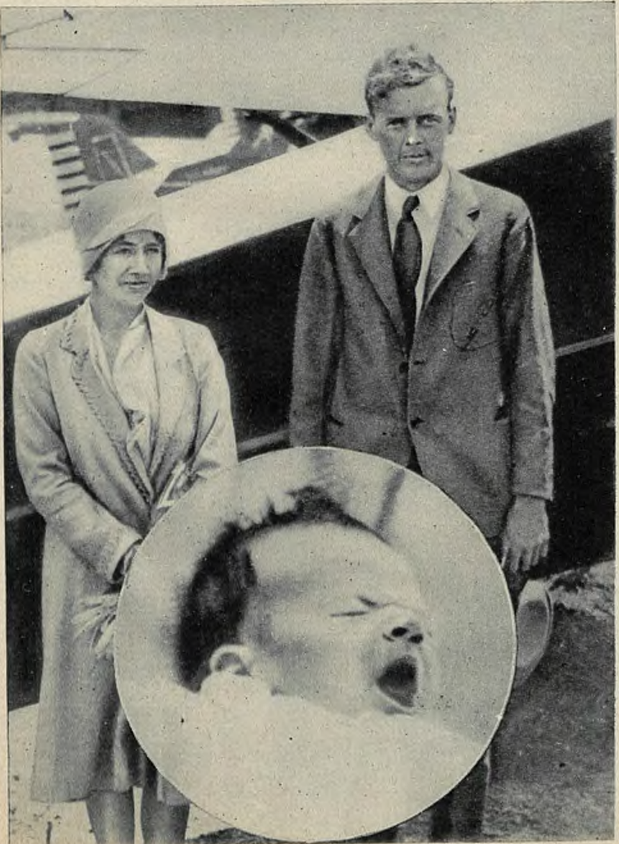
PORWANIE DZIECKA LINDBERGHA

Ameryka jest krajem sensacyj w wielkim stylu. To też morderstwa, szantaże, porachunki bandyckie i t. d. reżyserowane są tam w skali prawdziwie monstrualnej. W ostatnich czasach weszły w modę znane metody bandyckie, polegające na porywaniu osób, za które rodzina może zapłacić poważny okup. System ten odżył ze względu na... kryzys. Gwarantuje on bowiem zdobycie znacznej sumy pieniężnej w sposób dosyć bezkarny, gdyż bandyci otrzymawszy okup, znikają zwykle, śmiejąc się w kułak z policji. Nie są na tyle naiwni, aby się dać przychwycić przez władze bezpieczeństwa na miejscu zdeponowania okupu i wynajdują tysiące kruczków, ażeby wydrzeć pieniądze i bezkarnie uniknąć rąk sprawiedliwości.

I oto bandyci amerykańscy puścili się na pomysł niezwykle śmiały. Porwali ni mniej, ni więcej, tylko synka Lindbergha, który w Ameryce jest prawdziwym bożyszczem tłumów. Niema osobistości bardziej znanej i uwielbianej aniżeli Lindbergh, to też porwanie jego dziecka oburzyło ogół publiczności amerykańskiej.

Karol Lindbergh, bohater przelotu nad Oceanem, stał się nietylko sławnym, ale również i niesłychanie zamożnym. Pieniądze cisnęły się do niego nie tylko ze strony linij samolotowych, ofiarowujących mu ogromne apanaże za przeloty, ale przedewszystkiem... przez kobietę. Otto ożenił się on, ni mniej ni więcej tylko z najbogatszą panną w Ameryce, córką głośnego bogacza Morrowa. Miljoner ten, który przez długie lata pełnił wysokie funkcje dyplomatyczne w Meksyku i w innych państwach, przez długi czas złączony był interesami ze słynnym Morganem. Lindbergh ożeniwszy się z panną Morrow, nie porzucił swojego zawodu lotnika, ale latał z bogatą żoną na wszystkie strony świata, odbywając m. i. przelot ponad Alaską oraz Japonją.

Od roku państwo Lindbergh cieszyli się synkiem, który niebawem miał otrzymać towarzysza, gdyż p. Lindbergh spodziewa się drugiego dziecka. Oczywiście Karol Lindbergh zaofiarował natychmiast okup 50.000 dolarów w nadziei, że suma ta zwabi bandytów. Przypuszczać jednak należy, że bandyci cenią Lindbergha znacznie wyżej i że chcą od niego wydostać co najmniej dziesięć razy tyle. Dramatyczne koleje pościgu za małym Lindberghiem śledzi z napięciem cała Ameryka.



Na lewo: Karol Lindbergh, słynny lotnik amerykański, który pierwszy dokonał przelotu z Ameryki do Paryża, obok jego żona.

W kole: Dziecko Lindbergha, które w tych dniach zostało wykradzione przez bandytów, celem wymuszenia okupu.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.

Poniżej: **CZECHOSŁOWACJA CHCE BYĆ GOTOWA NA WSZELKIE EWENTUALNOŚCI.** Policja czechosłowacka i żandarmerja otrzymały ostatnio trąbki alarmowe, zapomocą których demonstrujące tłumy będą ostrzegane, że jeżeli nie rozejdą się, to nastąpi salwa. Podobny zwyczaj istniał także w dawnej monarchji austrjacko-węgierskiej i był stosowany przez wojsko. — Zdjęcie przedstawia żandarma czechosłowackiego z nową trąbką sygnałową. *Photo-Centropress.*





Powyżej na prawo: **MANIFEST B. KRÓLA HISZPAŃSKIEGO.** B. król hiszpański Alfons XIII od czasu wygnania podróżuje po całej Europie, oddając się sportom i zabawom. Pogłoski, jakoby wydał manifest do narodu hiszpańskiego, zapowiadający powrót do kraju, okazują się fałszywe. — Zdjęcie przedstawia króla hiszpańskiego (x), przebywającego obecnie w Atenach. *Scherl — Berlin.*



W kole: **ZABÓJCA RASPUTINA PROCESUJE SIĘ.** Zabójcami Rasputina, chłopa rosyjskiego, który w czasie wojny światowej zdobył sobie nieograniczony wpływ na cara, a przez to i na losy Rosji, byli książę Jessupow, oraz poseł Puryszkiewicz. Obecnie Jessupow przebywa w Paryżu. Zaskarżył on jedną z firm za wystawienie filmu, w którym rola jego nie została zbyt dodatnio przedstawiona i zażądał odszkodowania w kwocie 100.000 złotych. Zdjęcie przedstawia ks. Jessupowa w Paryżu. *Atlantic-Photo.*

Poniżej: **ROZRUCHY W ANGLJI.** Anglja posiada blisko dwa i pół miljona bezrobotnych, którzy pobierając zasiłki ze skarbu państwa, są ciężarem nie do zniesienia i stanowią podatny teren dla agitacji przewrotowej. To też w Anglji na porządku dziennym są rozruchy i demonstracje. — Zdjęcie przedstawia rozpędzanie bezrobotnych przez policję w mieście Bristol. *The New York Times.*





Powyżej: **FABRYKA NAD MORZEM MARTWEM.** Na ziemi biblijnej, w miejscu, gdzie ongiś leżały miasta Sodoma i Gomora, buduje się obecnie fabrykę nawozów sztucznych, dla których surowce będą dobywane z morza Martwego, posiadającego ogromny procent saletry, potasu i soli. — Zdjęcie przedstawia pierwsze zabudowania nowej fabryki nad morzem Martwem w odległości kilku kilometrów od Jerycho. *R. Sennecke — Berlin*

Poniżej: **TRAGICZNY KONIEC LOTNIKA.** Lotnik amerykański, Rollie M. Lane, należał do najlepszych skoczków, wykonał bowiem 149 udałych skoków ze spadochronem. Przy 150-tym zabił się jednak, gdyż spadochron jego konstrukcji nie otworzył się. — Zdjęcie przedstawia zwłoki nieszczęśliwego lotnika po katastrofie na ulicy w Los Angeles (Kalifornja). *The New York Times*



Dzieciaki o cukrze.



Kazia Kachałówna ze szkoły w Niwce, pow. Sosnowieckiego tak silnym wyobraża sobie braciszka, gdy się naje cukru, że będzie borykał się z niedźwiedziem. Coprawda niedźwiedź jest nieco podobny do zająca, ale kto wie, jakby go w tym wieku wymalował sam pan Matejko.



A tu siedzę w II rzędzie czwarta od lewej strony (x).
Też uśmiechnięta jestem, bo mi bardzo herbatka z cukrem smakuje.
A w tym samym rzędzie ósma od lewej strony (xx) siedzi moja siostrzyczka - Zosia, która też lubi słodycze z cukru.

Tak się prezentuje Czytelnikom Genowefcia Lisówna z Tychowa Starego w pow. Iłżeckim wraz z siostrzyczką, koleżankami, „panem“ i „panią“, którzy urządzili „Dzień Słodyczy“.

W kraju odbywa się akcja propagandy konsumcji cukru.

Miałam możność rzucić okiem na 11.000 ćwiczeń, które dotychczas ze szkół powszechnych napłynęły. Materjał to bardzo ciekawy i zapewne nasze zrzeszenia nauczycielskie i pedagogiczne go opracują.

Przeglądam te ćwiczenia na wyrywki. Dzieci mówią o obchodach propagandy konsumcji cukru, o „słodkich dniach“, o jagodobraniu, kończonych wspólnem smażeniem, o wódce, którą zamierzają ze wsi cukrem rugować.

Patrząc na te kulfoniki, ma się wrażenie, że to niby pole zielonych kiełków. Co też z tych niedołężnych pierwocin literackich, poetyckich i... publicystycznych wyrośnie?

W umysłach młodych autorów problemat znakomicie się upraszcza:

„Jakbyśmy jedli na jednego człowieka byle po 27 deka dziennie — pisze p. Bronka Szczepanikówna z Siedlisk w Pilzneńskim powiecie — tobyśmy żyli po 100 lat. Bylibyśmy silni, jak dawni siłacze wyrwidęby i mieli dużo pieniędzy. Niktby nie potrzebował wydawać na doktorów, a zamiast szpitali byłyby szkoły do nauki. A przytem ludzie nie piliby tyle wódki i nie palili tyle cygar i fajek. — I wszystkie dzieci szkolne i te małe byłyby zdrowe i silne, niktby nie miał krzywych nóg, ani też wielkiej głowy“.

Reginka Witkowska ze szkoły powszechnej w Kaźniewie występuje z takim oto wierszem:

Kto chce być dobrym obywatelem i zaoszczędzić w gro- [siwie,
Niech zjada dużo cukru, tylko niezbyt chciwie.
Trzeba w naszym kraju takich obywateli,
Którzy zjadają dużo cukru. Są przez to mężni, weseli.
Miesięcznie za cukier dziesięć złotych zapłacisz,
Nie kupisz cukru, to się też nie wzbogacisz.
Na cóż c się przyda życie, kiedy zdrowia nie masz?
Co zaoszczędzisz na cukrze, to na lekarstwa wydasz.
Co zaoszczędzisz na cukrze, to na wódkę wydasz.
A od wódki rozum krótki! Na co się Polsce przydasz?
I od wódki będziesz smutny i ponury,
A od cukru będziesz wesół i rósł do góry.

NA FIRMAMENCIE GWIAZD FILMOWYCH.



MARCELLE CHANTAL.

Tuż przed moim powrotem do Krakowa, nie będąc jeszcze zdecydowany na pożegnanie się z Paryżem, poszedłem do jednej z najwybitniejszych artystek francuskiego ekranu, Marcelle Chantal. Po rozmowie z nią nie miałem już czasu na jej opisanie — wyjazd, Poznań, Kraków — codzienna praca redakcyjna.

W ostatnią niedzielę, przeglądając stosy papierów, listów, fotografij, zagłębiony w wspomnienia paryskie, natrafiłem na fotografję, z której spojrzały na mnie smutne oczy, jakby z wyrzutem, że o nich zapomniałem. „Pour Światowid toute ma sympathie — Marcelle Chantal"...

Odnowiłem więc skwapliwie wspomnienia wizyty u bohaterki „Naszyjnika królowej" i oto piszę ten spóźniony wywiad.

Przypominam sobie, że jeszcze winda nie zatrzymała się na siódmem piętrze wspaniałego, ultramodernistycznego gmachu, gdy usłyszałem wybiegające na klatkę schodową znane i tak kochane dźwięki chopinowskiego preludjum.

To grała Marcelle Chantal.

Fortepian,, dywany, piękne skóry, tłumiące kroki po posadzce, w owalu biegnące połączone z sobą pokoje, książki, kwiaty i fotografje; zapadłem w miękki fotel i zanim zadałem pierwsze, steoretypowe pytanie dziennikarza, który przyszedł po wywiad u sławnej artystki, patrzyłem.

Patrzyłem na tę smukłą postać, którą tyle razy z prawdziwym podziwem obserwowało się na srebrnej bieli ekranu;; od czerwonej narzutki pięknie odbijała pociągła twarz o rysach delikatnie rzeźbionych; włosy ciemnokasztanowe, pięknie wykrojone usta czerwone, oczy — pod artystycznie rzuconą linją brwi jakie oczy? Trudno je określić: oczy dziwne, jakby zmatowiałe na jednem napięciu zamyślenia, oczy, przez które nie przebiega uśmiech, chociaż śmieją się usta — dziwne, jasnozielono-szare oczy.

Patrząc w te oczy, które tak czarują z ekranu, zadawałem pytania i słuchałem odpowiedzi.

Przypominają się czasy z przed lat kilku, gdy kino nie uczyniło jeszcze z Marcelle Chantal pierwszorzędnej gwiazdy; wtedy nazwisko jej ściągało tłumy z afiszów koncertowych, czasem z afiszów Opery i Opery-Komicznej. Marcelle Chantal była śpiewaczką.

— Śpiewaczka co wieczór musi być inna, co wieczór musi dać z siebie coś innego; chętnie przystałam na pierwszą propozycję kinową, ażeby ujrzeć samą siebie, ażeby doszukać się z siebie tego, co podświadomie oddawałam dusznym salom koncertowym. W ten sposób odegrałam rolę, porzuconą przez Polę Negri, w „Naszyjniku królowej" i w ten sposób wciągnął mnie film.

— Od tego czasu nie wróciła już pani na estradę i scenę?

— Było to wprost niemożliwe; szedł film za filmem — cóż robić, zdobyłam sobie powodzenie na ekranie — uśmiecha się fascynująca bohaterka „Wakacyj djabła". — Angażowały mnie kolejno różne wytwórnie, od najmniejszych aż do największych, do „Paramountu" i ostatnio „Pathé-Natan".

— Jak wygląda lista pani filmów?

— Więc „Naszyjnik królowej", następnie „Czułość", „Tajemnica lekarza", „Całe życie", „Wakacje djabła", „Rekwizytornia", gdzie miałam pełną satysfakcję pracując pod ręką świetnego Dymitra Buchowieckiego, następnie „Wagabunda" i w końcu dwa filmy dla „Pathé-Natan", gdzie jestem obecnie zakontraktowana jeszcze na dwa dalsze, „Dwadzieścia cztery godziny z życia kobiety" i „W imieniu prawa", film ostatnio wykończony.

Wśród reżyserów francuskich za genjalnego w swym specjalnym rodzaju filmowym uważa Marcelle Chantal René Clair'a, za szalonego w swym rodzaju filmowym — Abla Gance: „szalony genjusz" — jakże wspaniałe określenie genjalnego twórcy „Końca świata"!

— A film niemy?

— Dla mnie on nie istniał — debjutowałam już w dźwiękowcu; ale stoję w zasadniczej obronie filmu mówionego; uważam, że to jest dopiero całokształt tego, co dać może kino, jeśli naturalnie, kształtuje je ręka odpowiedniego twórcy, który potrafi dać syntezę zdobyczy technicznych filmu starego i wymogów nowego.

Długo patrzę jeszcze — pisząc te słowa w Krakowie — na fotografję pięknej głowy Marcelle Chantal, osnuty słodkiem wspomnieniem Paryża... *Witold Zechenter.*



U góry:

Portret sympatycznej gwiazdy francuskiej, Marcelle Chantal, która przesyła wyrazy sympatji dla Czytelników „Swiatowida".

Fot. Studio Lorett, Paris.

Na prawo:

Słynna już dziś gwiazda amerykańskiego filmu Carole Lombard, której świetną kreację ujrzymy niedługo w obrazie pt.: „Agreable interview".

Fot. Paramount.

Z CAŁEJ POLSKI.









ZATRUCIE GAZEM WE LWOWIE. W tych dniach wydarzył się we Lwowie tragiczny wypadek zatrucia gazem całej rodziny, z której dwie osoby zmarły. Powodem tego wypadku było pęknięcie rury. — Zdjęcie przedstawia robotników, zajętych naprawą rurociągu. Pracę ich utrudniało przemarznięcie ziemi, wskutek długotrwałego zimna.

POGRZEB ŚP. GEN. ŁEMPICKIEGO. Dnia 3 b. m. odprowadzono na wieczny spoczynek na cmentarz wojskowy w Warszawie zwłoki śp. gen. Zygmunta Łempickiego. Zdjęcie przedstawia kondukt pogrzebowy na pl. Marsz. Piłsudskiego. Trumna spoczywa na lafecie armatniej.

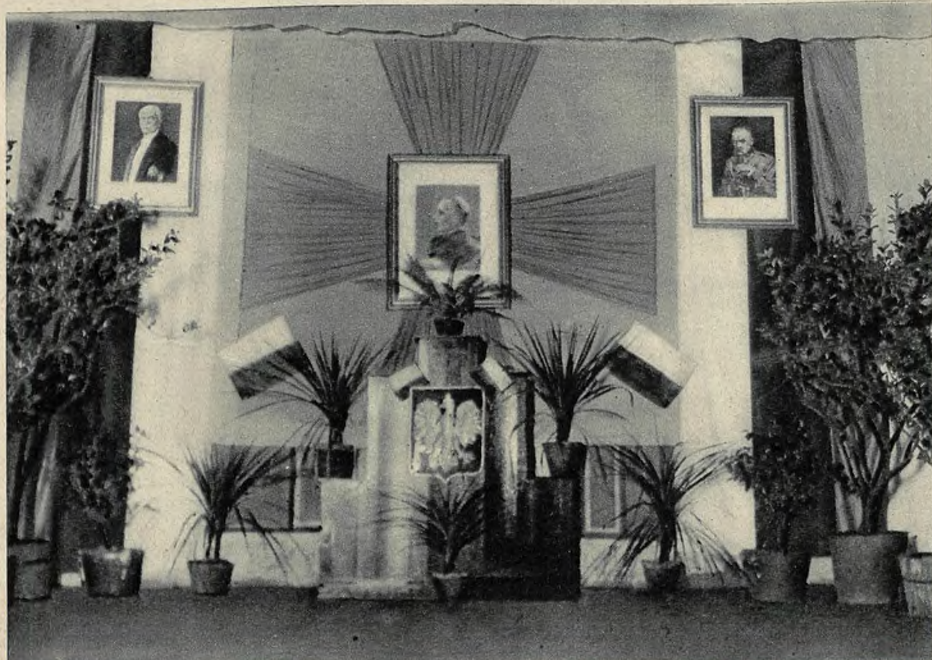




ZATOKA PUCKA WOLNA OD LODU. Trwająca od kilku dni odwilż na polskiem wybrzeżu uwolniła od skorupy lodowej zatokę Pucką. — Zdjęcie przedstawia pobrzeże zatoki Puckiej, po którem przelewają się burzliwe fale morza.

W kole: **POLSKA MA 300.000 RADJOAMATORÓW.** Po wybudowaniu olbrzymiej stacji nadawczej w Raszynie pod Warszawą, która należy do najsilniejszych w świecie, daje się zauważyć w Polsce ogromny wzrost liczby abonentów radjowych, rekrutujących się nietylko ze sfer miejskich, ale także z ludności wiejskiej. Trzechsettysięcznym abonentem polskiego Radja (na zdjęciu) jest p. Stanisław Kaczmarczyk, listonosz ze Sławkowa. Polskie Radjo zwolniło go do końca życia od opłaty radjowej i ofiarowało mu aparat lampowy z głośnikiem.

Na prawo: **NOWY PREZES ZWIĄZKU SYNDYKATÓW DZIENNIKARZY POLSKICH.** Dnia 28 lutego b. r. odbył się w Warszawie zjazd dziennikarzy, na którym dokonano wyboru nowych władz Związku Syndykatów Dziennikarzy Polskich. Prezesem wybrany został redaktor Bolesław Koskowski (na zdjęciu), znakomity publicysta i redaktor „Kurjera Warszawskiego".



KU CZCI KS. BISKUPA BANDURSKIEGO. Za wzorem innych miast polskich, które złożyły hołd niezłomnemu patrjocie ks. biskupowi Bandurskiemu z okazji 25-lecia święceń jego biskupich, poszedł także i Kościan w Wielkopolsce. Zdjęcie przedstawia dekorację sali w Kościanie, w której odbył się obchód.



Z POBYTU P. WOJEWODY KIRTIKLISA W GDYNI. W tych dniach bawił w Gdyni wojewoda Kirtiklis w podróży służbowej. — Zdjęcie przedstawia p. wojewodę (x) w otoczeniu straży granicznej i marynarzy w Gdyni.

DAVOS RAJ NARCIARZY

Kolejka elektryczna wiodąca z doliny Davosu na szczyty.

Poniżej: Wzorowa „chrystjania“ na trasie biegu zjazdowego Parsen-Davos. Różnica w wysokości pomiędzy temi oboma terenami wynosi 2.027 m, rekord trasy 15 minut. Na trasie tej odbywają się najczęściej międzynarodowe zawody.

FOT. Z. BORZĘCKI

Davos-Platz słynna miejscowość klimatyczna w Szwajcarji, położona 1559 m n. p. m. Zdjęcie przedstawia t.zw. „curling“ na torze lodowym w Davos. Curling jest to szkocka gra, przypominająca kręgle i uprawiana przeważnie przez starszych panów.

Na prawo: Wspaniałe tereny narciarskie w okolicach Davos.



Hen daleko w Alpach, w wolnym kraju Helwetów, leży osłonięta ze wszech stron górami dolina Davosu. Unosi nas ku niej, szybko pędzący i niewstrzymujący szybkości nawet na wielkich zboczach pociąg kolei elektrycznej, t. zw. „Rhätische Bahn“. Pociąg zatrzymuje się na kilku górskich stacyjkach, po minucie pędzi dalej niepowstrzymanie przez przełęcze i tunele. Aż oto wjeżdża do długiej, dość wąskiej doliny — już, już, za parę minut stacja: Davos-Platz.

Miejscowość ta posiada liczne wspaniałe, pierwszorzędne hotele, sanatorja i pensjonaty, luksusowo urządzone. Zima trwa tu dobrych kilka miesięcy i jest niezawodną. Insolacja olbrzymia. Długoletnie obserwacje stwierdziły niezbicie w ciągu roku 100 pełnych dni słonecznych. Davos cieszy się sławą światową, jako stacja klimatyczna oraz jako klasyczne centrum światowe sportów zimowych. Na tem polu Davos skutecznie konkuruje z niedalekim St. Moritz.

Davos posiada największe i najlepsze lodowisko w Europie o łącznej powierzchni 30.000 m², na którem osiągnięto wszystkie rekordy światowe w jeździe szybkiej. Szczyci się też pięknym stadjonem hokejowym, gdzie corocznie odbywają się liczne matche międzynarodowe. Lód pierwszej jakości, szkli się, jak tafla lustrzana i jest utrzymywany w należytym stanie przez liczną falangę specjalnych „icemacher'ów“. W Davos odbywają się co roku mistrzostwa świata lub Europy w jeździe szybkiej lub sztucznej na lodzie. Są też dwie wzorowo zbudowane skocznie, dozwalające na skoki o nieograniczonej długości. Jest też tu doskonale urządzony i utrzymywany tor bobsleigh'owy, t. zw. „Schatzalpbobbahn“ o długości 3650 m., na którego start prowadzi wyciąg elektryczny, zabierający ciężkie boby i obsady.

Oto pobieżny zarys głównych urządzeń sportowych, zawsze precyzyjnie funkcjonujących i otwartych (naturalnie w zależności od warunków atmosferycznych) od połowy grudnia aż do końca marca, a nawet i dłużej. Pod samym nosem Davosu, położony jest potężny masyw górski ze szczytem „Weissfluh“ na wysokości 2846 m. n. p. m. Tu jest początek klasycznego terenu narciarskiego, t. zw. „Parsenn“. Jest to teren w całej długości mocno nasłoneczniony o długości około 18 klm., dozwalający na wszelkie możliwości dla narciarza, od najłatwiejszych do najtrudniejszych. Na tejże trasie odbywają się corocznie sławne „Davos-Parsenn-Derby“. Jest to bieg zjazdowy i slalom, gromadzący elitę europejskich zjazdowców. Triumfują w nim jednak zawsze Szwajcarzy, znający dobrze teren, co w biegach zjazdowych jest wielkim handicapem. Ze szczytu, na wysokości już wspomnianej 2846 m., trwa zjazd bez przerwy aż do stacyjki Küblis, położonej na wysokości 819 m. — tak, że różnica wzniesienia wynosi imponującą sumę 2027 m. Rekord trasy całej wynosi 13 minut 44 sek. Dobry rutynowany narciarz, szybko zjeżdżający, potrzebuje na przebycie całej trasy około 45 min., a zjazd dowolny trwać może 4—5 godzin. W Küblis syci wrażeń i emocji wsiadamy do już wspomnianej Rhätische Bahn, niestety jednak dość drogiej ze względu na potrzebę stałej kosztownej konserwacji dla ochrony od lawin śnieżnych i kamiennych i w niedługim czasie osiągamy punkt wyjścia: Davos.

Zapobiegliwi i sprytni Szwajcarzy, żyjący wyłącznie jak np. w Davos z ruchu kuracjuszy i turystów, zdobyli się w tych ciężkich i dla nich czasach, gdyż i tam odczuto porządnie kryzys światowy, objawiający się w słabej frekwencji obcych — na niemały wyczyn. Oto podjęto się budowy nowej linowej kolejki elektrycznej. Punktem jej wyjścia jest Davos, a celem wspaniały teren Parsenn. Obliczona ona została litylko dla użytku i korzyści narciarzy. W niedługim czasie myśl wprowadzono w czyn i pierwsza połowa całej projektowanej trasy została ukończona w jesieni ub. roku, a uroczyste otwarcie kolejki nastąpiło w grudniu tegoż roku.

W kilku minutach, za stosunkowo niewielką opłatą, osiąga ona różnicę wzniesienia 659 m. Stacja końcowa znajduje się na wys. 2215 m. W roku bieżącym nastąpi budowa drugiej części kolejki aż do wysokości 2661 m., tj. do szczytu „Weissfluh-Joch“.

Parsenn, to magiczne słowo dla tysięcy narciarzy, to szczyt marzeń i pożądań! Tu widzimy w marcu, kwietniu, a nawet i maju na bronz spalonych wyznawców sportu narciarskiego, noszących na sobie jedynie spodenki kąpielowe. Tu odbywają się zaślubiny z naturą, słońcem i kryształicznem powietrzem, tu w wspaniałych chrystjaniach, telemarkach i szusach osiągamy pełnię wrażeń, emocji i satysfakcji!

Zygmunt Borzęcki.

ROZMAITOŚCI.



KARCZOWANIE LASÓW W AUSTRALJI. Osadnicy, udający się do egzotycznych krajów, muszą ziemię, zdatną do uprawy zboża wyrywać puszczy. W tym celu podpalają oni las na pewnej przestrzeni, poczem karczują pniaki. Przeminie czasem kilka lat, zanim ziemia zostanie przystosowana do zasiewu zboża, lub urządzenia plantacji. — Zdjęcie przedstawia dogasające zgliszcza puszczy australijskiej. *Presse Photo.*

W owalu: **SKĄD SIĘ BIORĄ PACIORKI?** Ojczyzną tak modnych obecnie paciorków i kryształów, noszonych przez panie, jest Czechosłowacja, posiadająca bardzo silnie rozwinięty przemysł porcelanowy i szklany. Na zdjęciu robotnice czechosłowackie, zajęte wyrobem paciorków. *Photo Centropress.*





TAKŻE DZIWAK. W Croydon, w Anglji spaceruje osobliwy żebrak (na zdjęciu), którego ubranie składa się wyłącznie z gazet i starych gałganów. Nawet buty nosi on papierowe. Najchętniej wdaje się w rozmowy z dziećmi i od nich też otrzymuje jałmużnę. *The New York Times.*

Obok: **TYP STAREGO AFGANISTAŃCZYKA.** — Afganistan zamieszkały jest przez Afganów pochodzenia irańskiego, a także Ajmaków i Hazarów pochodzenia mongolskiego. Ludy te są wyznania mahometańskiego. W pogaństwie żyją tylko t. zw. Kafirzy, czyli niewier. Na fotografji Afgan z okolic Kabulu. *Associated Press.*





KRÓL CYGAŃSKICH SKRZYPKÓW. Konkurencja jazzu daje się w ostatnich czasach ogromnie we znaki kapelom cygańskim. Ojczyzną muzyki cygańskiej są Węgry i Rumunja. Niemal w każdej kawiarni budapeszteńskiej jeszcze do niedawna produkowały się orkiestry cygańskie, złożone z prymasa, t. j. pierwszego skrzypka, cymbalisty, basisty i kilku innych skrzypków. Muzyki te grały ogniste czardasze i inne pieśni, przeważnie bardzo smutne i namiętne. Cygańscy muzycy co roku wybierają sobie swojego króla. Tego roku zaszczytny ten tytuł otrzymał Emmerich Maggari (na zdjęciu). Zapowiedział on bardzo energiczną walkę z jazzem, który coraz bardziej wypiera cygańskie kapele, tak, że 80% cyganów-muzyków straciło już chleb. — Zdjęcie przedstawia króla muzyków cygańskich Maggari'ego, grającego przed mikrofonem.

ŁOSIE RUSZYŁY z ZIMOWISK NA POLESIU.

Nie było się śniło jeszcze polom szerokim, bielą śniegów pokrytym o wiośnie, a już gadki tajemne wstrząsały łozami pobrzeżnemi, targając je dziwnym dreszczem oczekiwania.

Już ci w godziny południowe, słońcem przedwiośnia brzemienne, pełne były jakiejś lubej prężności czynu, a ciepłe podmuchy wiatrów, jeziora głaszczące, o cudzie odrodzenia szeptały.

Nieświadoma przyziemnych i marnych trosk ludzkich, puszcza, zew ten dziwny, a rozkoszny chłonęła w siebie, łukami, wśród konarów, czeluściami wyrębów i łysinami haliżu.

— Idzie, już idzie — szeptały gałęzie, powtarzając wieść radosną napuszonym kitom sośniny...

— Idzie już, idzie wiosna.

Zbudzona ze snu białego, z pod puchowiny śniegu wyjrzała śniegutka, białym łebkiem w niebo spoglądając, a wypatrując, co też tam gawędzą dzikie maliny, bachiczny kochanek knieji — głuszec zwolna przyozdabiał pierś śpiewną, w błękit królewskich orderów upierzenia i tłumił tęsknotę miłosną, o której zaśpiewać miał w czasie toków.

I łosie ruszyły już z zimowych leż...

To znak niechybny przedwiośnia.

Zbite w luźno sunące gromady, ruszyły. jesienią w kierunku północy, ulegając nigdy nieomylnemu nakazowi instynktu... na leża zimowe i zaciszne, w kierunku Gudełek i Kiernowa.

Łosie sędziwe łopatami, o wieloletnim rozgałęzieniu, łosze — matki przyszłe, a w czasie rykowisk pożądane kochanice.

Ruszyły.

Nieomylny znak wiosny idącej.

Parami lub po kilka sztuk w stadzie, śmigając brunatnymi kłębami, między konary i podszycia, brutalnie trzaskając łom i podszycie borów.

Ruszyły w głąb knieji. Ziściła się prześniona zda się zjawa senna o młodej ziemi, sen o tundrze z epoki lodowcowej między dzisiejszym Wiedniem a Sztokholmem, połać Europy zalegającej. Kartka fantasmagoryczna z paleontologji, ożywiona i wczarowana w kresową knieje.

Łoś.

To nie jeleń, paź z dworu Ludwika XIV, elegant i charmeur, wieńcami rogów pawimenta puszczy zamiatający, to zwierz potężny, w masie ogromny, niesamowity, ze łbem na nosie garbatym dźwigający potężną koronę łopat rogów.

To mocarz knieji, to pan feudalny.

Nie znający czem jest odległość i przestrzeń, bez zmęczenia śmigający białemi „portkami" przez bagna i rojsty, to heros odważny, szerokie swe czoło niedźwiedziowi i wilkom stawiający... to wreszcie kochanek nad kochanki.

Namiętny stęk łosia w jesiennej knieji, to nie łzawa ryada słowika, o miłość żebrzącego — to nakaz oddania się, to poczucie swej władzy i odczucie posiadania.

Łosie ruszyły z zimowych leż...

Już te ostatnie niestety, w Polsce i... na kontynencie...Te, które ostry i bezwzględny zakaz od strzału i prawna ochrona, od szlachtuzu bezmyślnego uratowały. W puszczy Rudnickiej chowa się stadko około sześćdziesięciu szuk liczące, wraz z młodzieżą, w Sereszewskiej knieji i Białowieży chowają się stada do kilkuset sztuk liczące, Polesie szczyci się w kilkunastu okręgach notowanemi statkami.

Niwelacją bagnistych obszarów i dewastacją wielkich kompleksów leśnych wypłoszą łosia.. do muzeów, ogrodów zoologicznych... a wreszcie może da mu się prawo bytu, jedynie w legendzie i wspomnieniu. Ze słoniem afrykańskim i nosorożcem, zginie i łoś, jak zginęły brontozaury i mamuty... gdyż drobiazg walczy o byt, wypiera olbrzymy i zwycięża.

A przecież kilkanaście lat temu łosie nie były rzadkością łowiecką kresowej knieji. Wielkie polowania organizowane przez królewięta kresowe Radziwiłłów, Potockich, Kotowiczów i Jelskich, liczyły na rozkładach swoich, po kilka wspaniałych byków łosi, po których dziś, pozostały jedynie wspomnienia, lub też trofea łopaty w jadalnej sali.

Nie ma na Wileńszczyźnie zapewne szlachcica-myśliwego, któryby nie położył łosia, gajowi, włościanie, no i kłusownicy po dziś dzień plotą „pogaduszki" o senatorze knieji — łosiu.

— — — — — — — — —

Mimo bardzo ograniczonej liczebności, łoś reprezentowany jest u nas w dwu odmianach.

W rejonach ziem wschodnich (Polesie) i północno-wschodnich (na Wileńszczyźnie), dają się zauważyć dwie zasadniczo różne odmiany łosia.

Pierwszą z nich jest t. zw. „badylarz", zamieszkujący północ, bezpośredni krewniak łosia skandynawskiego i syberyjskiego, dłuższy nieco w kłębie, o palczastem rozgałęzieniu łopat jaśniejszy szerścią od pobratymca swego „poleszuka".

Drugą odmianą łosia jest łoś „łopaciarz", brunatny i krótszy w kłębie od poprzedniego, wyższy natomiast i śmiglejszy w biegu. Rogi ma zbudowane w formie łopat, strukturą swą rozstawioną dłoń ludzką przypominające.

Władze polskie rozumiejąc potrzebę zachowania łosia i uratowania go od kompletnej zagłady zabroniły odstrzału, grożąc za zabicie łosia karą 500 złotych i bezwzględnem sześciomiesięcznem więzieniem.

Łosie w puszczy Rudnickiej powierzono opiece wielkiego miłośnika przyrody i znanego literata W. Korsaka.

Jest on żywą encyklopedją Puszczy, a łosie, które zna omal że „po imieniu" obiecuje uhonorować specjalną książką — monografją im poświęconą. Do r. 1926 nie było zakazu zabijania łosia.

Łoś, który przypadkowo wymknął się z obrębów lasów rządowych, padał od kuli myśliwego lub kłusownika.

Będąc na Polesiu, sam raz napotkałem się z łosiem, a właściwie z łosią „płcią piękną" i cielęciem! Stojąc na stanowisku w czasie nagonki, zaskoczony byłem nagłem zjawieniem się łoszy, wraz z cielęciem o jakie piętnaście kroków od siebie.

Nastąpiły zwykłe ceremonje towarzyskie. Łosza nastawiła uszy, wyciągnęła pysk, wietrząc w moim kierunku. Cielak, jak cielak, zachowywał się dość niepoważnie, zdradzając gwałtowną chęć possania. Przyglądaliśmy się sobie z zupełnym spokojem, ja jednak uznając konieczność powitania „damy" zdjęciem kapelusza naraziłem się łoszy, gdyż ta opatrznie rozumiejąc akt kurtuazji, obraziła się i odbiegła w głąb wolnym truchcikiem.

Najpopularniejszym systemem łosich łowów, było t. zw. polowanie na wabia. Wabiarz, najczęściej gajowy, umiejący imitować stęk łosia w czasie rykowiska, zasadzał się wraz z myśliwym w okolicy przez łosie nawiedzanej i „stękał" przez brzozową tubę.

Łoś-byk podrażniony rzekomem wołaniem rywala, przybiegał na strzał, gdzie życiem opłacał miłosne zabiegi.

Dziś łoś chroniony przez człowieka i przed człowiekiem, pada niekiedy ofiarą wilczej zgraji... i nieraz zimą znachodzi się w knieji pozostałości z krwawego teatrum śmierci... nadgryziony tułów łosia i kałużę krwi.

— — — — —

Ruszyły!

Tu i ówdzie trzaśnięta gałąź, bądź susz sosnowy, zachlupotało w rozlewie bagienka, załomotały racice po grudzie, a między pnie i konary, błysnęły błyski białych portek i cielsk brunatnych.

Wsłuchała się puszcza...

Rytmicznie, posuwiście sunęły łosie...

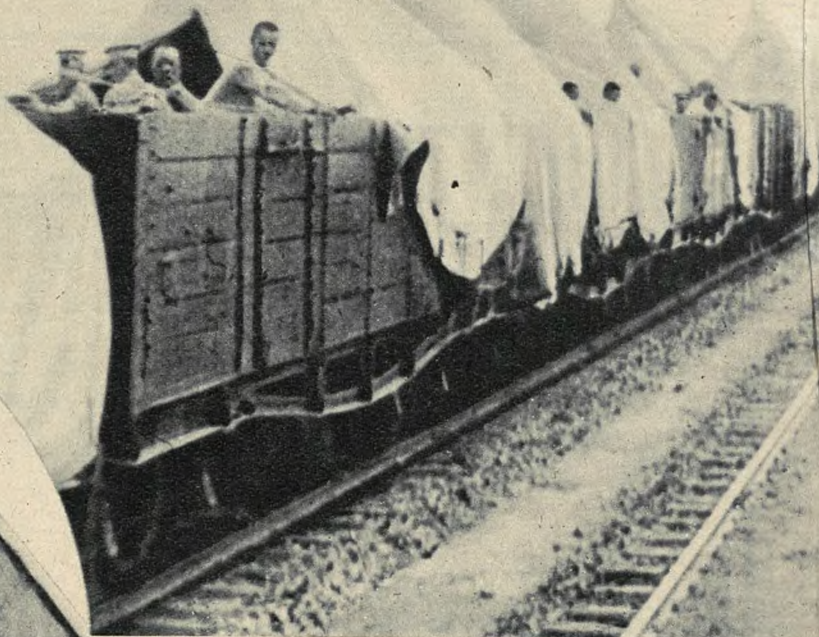
Sunęły wybijając takt, nowej wiosny, nowego życia.

Feliks Dangel (Wilno).

Obok: Gajowy z brzozową tubą, używaną do wabienia łosi.

W kole: Łosie sunące przez puszczę na Polesiu. Fotografja zrobiona z odległości 60 m specjalnym aparatem przez p. W. Korsaka.

Głowa łosia.



Pociągi z wojskiem chińskiem w okolicach Szanghaju. Dla obrony przed lotnikami nakryto wagony płachtami z białego płótna.



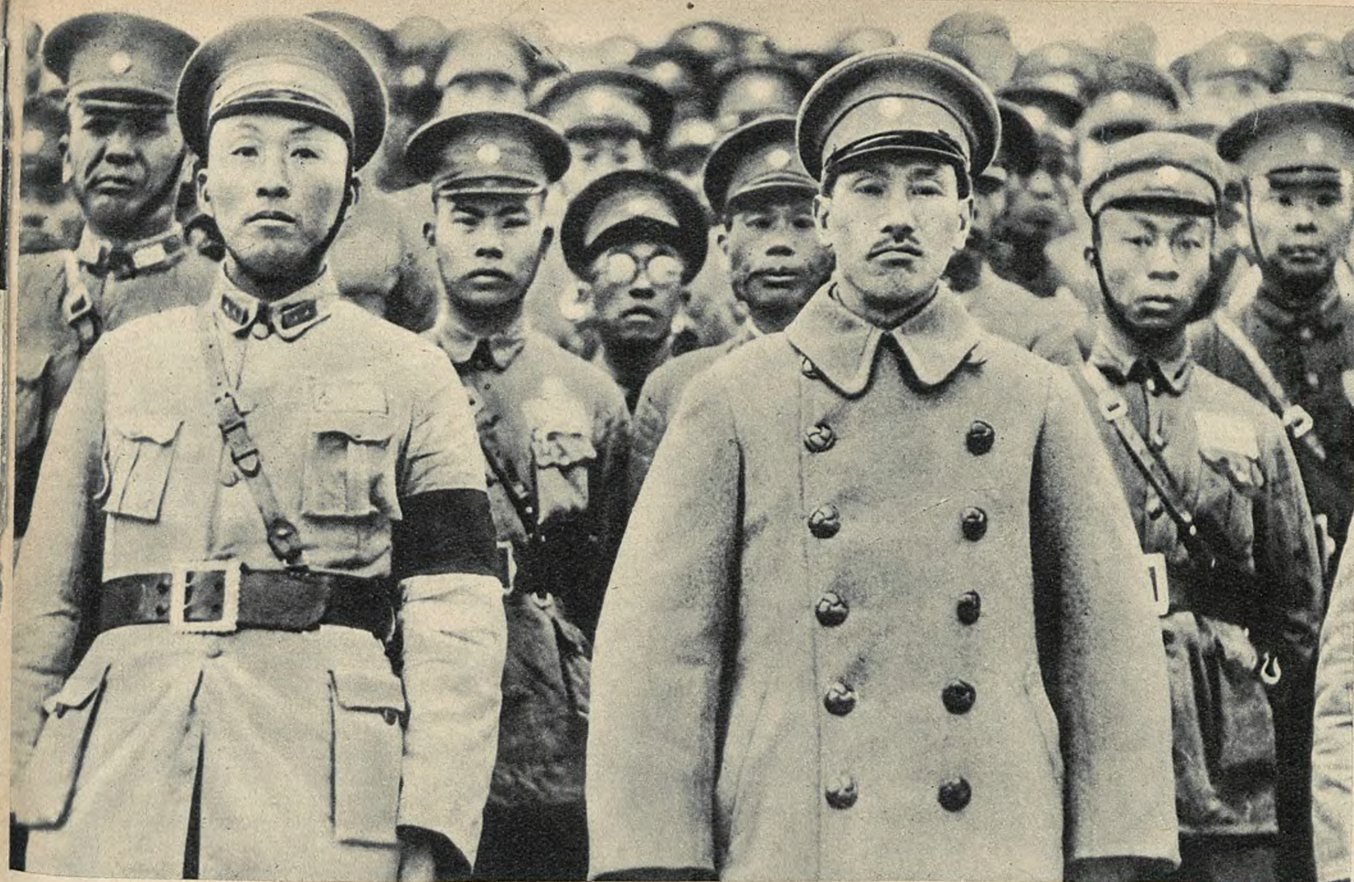
Marynarze japońscy ukryci na dachu szkoły ludowej w dzielnicy chińskiej w Szanghaju. Associated Press.

Na lewo:
Nowy szef floty japońskiej książę Hirovasu Fushimi. Trampus — Paris.





Poniżej:
Odprawa japońskich lotników wojennych, udających się z eskadrą bombową na front. C. Delius, Nice.



Generał Czang-Kai-Czek, b. prezydent Chin (na prawo) w mundurze wojskowym na czele 19-ej dywizji wojsk. Associated Press.



W owalu: Żołnierze 19. armji chińskiej z Kantonu w walkach pod Czapei. Noszą oni duże słomiane kapelusze, z któremi nie rozstają się nawet w zimie. N. Y. Times.

CHIŃCZYCY W ODWROCIE

Szanghaj, w marcu.

Chińczycy wycofali się pod przewagą dywizyj japońskich. Ustąpili z pola walki, zasłanego trupami i zroszonego swoją krwią. Opuścili okopy w nocy (2-go marca) pokryjomu, a jednak nie można tego nazwać ucieczką. Przez szereg tygodni przecież wytrwali na swem stanowisku, pod huraganowym ogniem artylerji, bomb samolotowych i karabinów maszynowych, swą bohaterską obroną i skutecznemi kontratakami zdobywając uznanie całego świata. Dobrowolnie ustąpili z Wusungu, Pao-Sian, Kjan-Wan, Tan-Zan i Ciapej. Gardłowe okrzyki „banzaj“ japońskiej piechoty, wdzierającej się we czwartek rano do okopów, rozlegało się już na pustych odcinkach frontu.

Chińczycy musieli ustąpić. Mimo niewątpliwego bohaterstwa, mającego w dużym stopniu swoje źródło w odruchach rozpaczy, wywołanej tylu dotkliwemi porażkami na froncie mandżurskim, nie mieli trwałych warunków, by odnieść zwycięstwo. Dowóz amunicji i broni, sprzętu wojennego oraz aprowizacji szwankowały na tyłach chińskich od samego początku zawieruchy wojennej w Szanghaju.

A żołnierz chiński? — Po pierwszych atakach na Kjan-Wan, gdy załamał się pierwszy, gwałtowny napór wojsk japońskich, przeszedłem koło koncesji francuskiej na tyły wojsk chińskich do Cung-Zu. Gdyby nie przepustka, podpisana przez oficera chińskiego, gwarantująca mi bezpieczeństwo, nigdybym się nie odważył na podobne zuchwalstwo. Wygląd żołnierzy chińskich nie budzi zaufania. Obszarpani, niektórzy w cywilnych ubraniach, wynędzniali, brudni, nie wyglądają zupełnie na żołnierzy. Wielu z nich nie ma butów. — Szmaty, owinięte dokoła stóp, chronią ich przed zimnem. Zamiast czapki z gwiazdką, gdzieniegdzie widać „cyklistówki“. Broń ich — to okazy najrozmaitszego kalibru. W przeważnych wypadkach, sznurek zastępuje rzemień przy karabinie lub pas przy torebkach z patronami. Mimowoli przypominam sobie lśnięce karabiny japońskie. Koło kotła, ustawionego przy rozwalonym domku, siedzi na ziemi kilkunastu obszarpańców-bohaterów. Chochlę zastępuje mała deseczka. Nabierają nią ryż i jedzą pałeczkami, drudzy zaś palcami.

I ci — coś nieprawdopodobnego — stawiają zacięty opór dywizjom karnego żołnierza japońskiego. Wytrzymują ataki i sami czynią wypady. Nie mogę tego zrozumieć. Zapytuję przez tłumacza, z której są armji. „87 dywizja nankińska“ — brzmi odpowiedź. „A armja kantońska?“... „Na froncie“ — odpowiada mi żołnierz, wskazując pałeczkami do jedzenia na płonący w dali Kjan-Wan. — „My tam idziemy dzisiaj w nocy“ — dodaje spokojnie, ładując nową porcję ryżu do ust. Może to ostatni jego posiłek...

Pod tem wrażeniem wracam z powrotem po trzech godzinnym pobycie, w stronę koncesji francuskiej, przyglądając się ewolucjom samolotów japońskich.

Gdy tylko rozeszła się nieoczekiwana wieść, że Caj-Tin-Kaj nakazał odwrót na całym froncie i że oddziały chińskie wycofały się już na odległość 20 kilometrów od miasta, ruszyliśmy samochodem japońskiego Czerwonego Krzyża do Kjan-Wan. Pola ryżowe w okolicach toru wyścigowego, dosłownie zryte granatami i bombami. Kanały poprzerywane. W pierwszych okopach chińskich nieopisany cuchnący zaduch z rozkładających się zwłok, leżących gdzieniegdzie pokotem. To skutki celnej artylerji z „maksymów“ japońskich. Potwierdza me przypuszczenie towarzyszący mi oficer. „Kikansiu (karabin maszynowy) — mówi, zasłaniając sobie usta i nos chusteczką. W drugich okopach trupy i woda. Idziemy dalej. Wszędzie rozwalone domy, dymiące jeszcze zgliszcza i zatarasowane przejścia. Nie dziwię się, że Chińczycy ustąpili. Gdzieniegdzie mężczyźni z kobietami rozgrzebują pogorzelisko. Kobiety nie płaczą. Na przechodzących Japończyków spoglądają długo, z nienawiścią.

Generał Ujeda osiągnął więc swój cel. W Szanghaju niema żołnierza chińskiego. Militarnie odniósł on zupełne zwycięstwo, lecz polityczne połowicznie. Nie samo przecież zdobycie Szanghaju było przyczyną przybycia dywizji japońskich i krwawych walk, które obróciły w kupę gruzów Ciapej, Kjan-Wan i Wusung.

Czy przez to zmniejszy się nienawiść Chińczyków do wszystkiego, co japońskie? Czy bojkot towarów Nipponu ustanie odrazu? Wręcz przeciwnie. Czyta się to w oczach każdego Chińczyka. Tchnie to z każdego numeru dzienników chińskich, które zapowiadają energiczną ofenzywę na „niezawisłą“ Mandżurję.

W mieście po ustąpieniu Chińczyków zapanował spokój. Lecz wszyscy mieszkańcy, przyzwyczajeni już do huku dział, bomb i monotonnego warkotu samolotów, ogarnięci są niedowierzaniem. Nikt nie wie, co zrobią teraz Japończycy, mimo zapewnienia gen. Ujedy, że kroki wojenne zostały wstrzymane. Nie wiadomo również, jakie są cele Caj-Tin-Kaja czy Czan-Kaj-Szeka. Ludność tłumnie zwiedza pobojowiska, ogląda gruzy i opłakuje śmierć krewnych. Szanghaj długo pamiętać będzie krwawą „wizytę“ żołnierza japońskiego.

Że to wspomnienie nie ułatwi wzajemnych stosunków obu wielkich narodów — to pewna.

Ten.

BERLIN POD ZNAKIEM GŁODU I SZAŁU.

(Korespondencja własna „Światowida").

Berlin, marzec 1932.

Był czas, kiedy Berlin stał się ziemią obiecaną dla ludzi wszelkich narodowości. Czas, w którym miasto rozwinęło się, nabrało amerykańskiego tempa i rozrosło się do 5-cio miljonowej metropolji europejskiej. Czas ten już jednak dawno minął i może bezpowrotnie. Dziś Niemcy, a przedewszystkiem Berlin, jęczy w uściskach kryzysu. Każdy narzeka. Brak pracy przedewszystkiem. Cudzoziemcy uciekają zawczasu ze swemi kapitałami.

Właściwie są, że tak powiem, dwa Berliny: jeden stary, drugi nowy. „Stary", pamiętający czasy rozkwitu Niemiec, od dzielnicy Friedrichstadt, aż po krańce reprezentacyjnej Unter den Linden i Placu Zamkowego. Tutaj, zdawałoby się drzemie jeszcze stara monarchja. — Każda ulica, każdy prawie plac dźwigają nazwy, jak: plac Króla Fryderyka, Cesarza Wilhelma, ulica Królowej Luizy i t. d.

Dynastja Hohenzollernów, wraz z ich dalszymi i bliższymi krewnymi, uwidoczniona jest na szyldach tysiąca ulic. Nic dziwnego. Niemiecka republika ma dużo szacunku dla tamtych epigonów. Stary Berlin jest poprostu naszpikowany pomnikami. Pomniki są ciężkie i poświęcone wyłącznie monarchji i jej generałom.

Amerykanie są temi rzeczami zachwyceni. Na ten temat istnieją masy anegdot. Jedna z nich opowiada, że grupa Jankesów, prowadzona przez cicerona „niearyjskiego" pochodzenia, stanęła przed pomnikiem Blüchera. Zaciekawieni pytają przewodnika, kto to taki. Odpowiedź brzmiała: „To jest zaufany prez. Hindenburga". „A co oznacza ta cyfra 1812?" „Eh nic, — to jego numer telefonu"...

Magistrat berliński zaaferowany masowym przypływem zagranicznych wycieczkowców, wybudował kilka lat temu nową, modną i iście amerykańską dzielnicę Berlina. To jest Kurfürstendamm, dworzec Zoo i ich okolice. Jakby naprzekór, sterczy na początku Kurfürstendammu stary kościół, Kaiser Wilhelm Gedächtniskirche. Kościół ten jest niby przestrogą dla każdego udającego się na Kurfürstendamm, dzielnicę kin, teatrów, kabaretów, barów nocnych, kawiarń, kawiarenek i t. d. Zbytecznem jest dodawać, że dzielnica ta i jej lokale rozrywkowe budowane były jakby na eksport i przeznaczone dla cudzoziemców. Jankesi zalewają tu swe „wysuszone" gardła. Anglicy zachwycają się teatrami Reinhardta, a Rosjanie opowiadają wszystkim, że są, wyłącznie, wielkimi księciami-emigrantami. Przy kieliszku pada „wyznanie", że gdzieś tam na Krymie zakopali bezcenne skarby.

Pominąwszy wszystko, trzeba przyznać, że Kurfürstendamm i jego okolice są doprawdy arcydziełami urbanistyki. Wprawdzie kiepski czas wycisnął i tu swe piętno, zwalniając mocno tempo ostatnich lat — jednak dzielnicę tę można tylko porównać z nowojorskim Broadwayem, albo paryską Avenue des Champs Elysees. Ulica przy dworcu Zoo tworzy w nocy panoramę, skąpaną w stubarwnej tęczy świateł i światełek. Wykorzystano tu każdy centymetr ściany dla celów reklamowych. Reflektory tej świetlnej reklamy zalewają w nocy niebo łuną czerwieni.

W każdym prawie domu Kurfürstendammu jest jedna albo dwie kawiarnie. Niektóre kawiarnie zajmują nawet całe kamienice. Są to modne luksusowe lokale, mieszczące się w 4 lub 5-piętrowych domach, stanowiących jedną całość. Dostaniesz tu wszystko, począwszy od zwykłego bawarskiego piwa, a skończywszy na kokainie albo najelegantszych kobietkach.

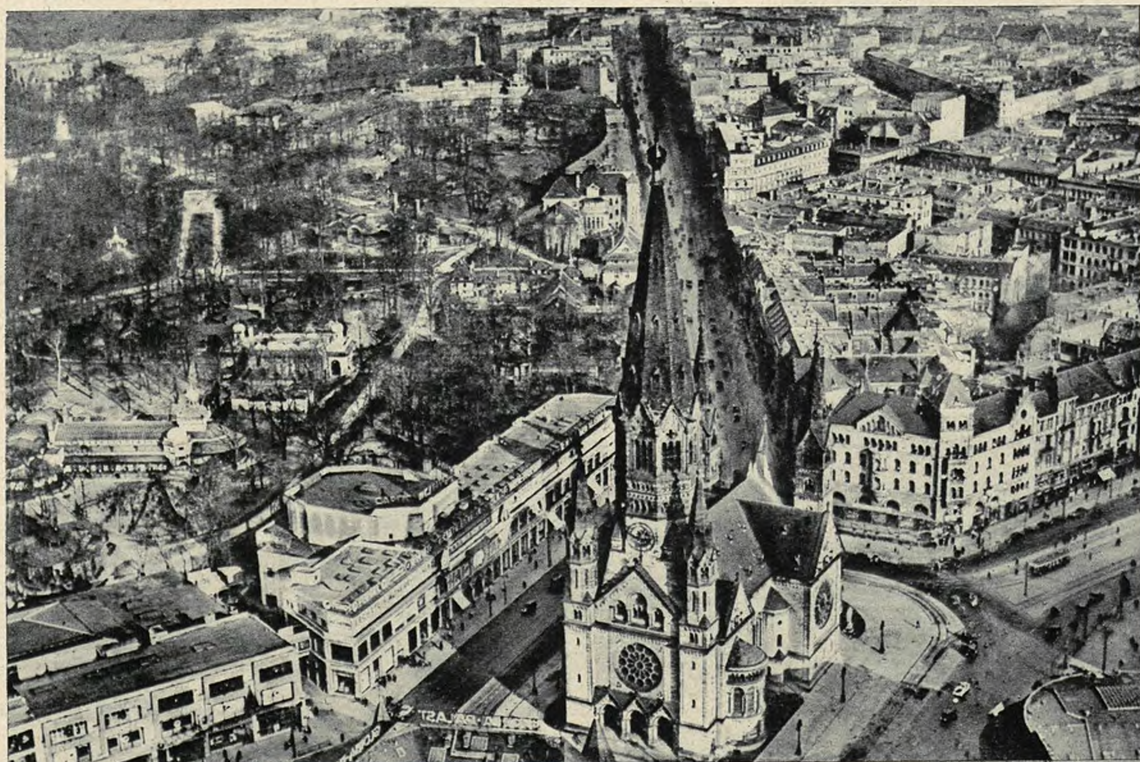
Do historji Kurfürstendammu należy stara kawiarnia „Cafe des Westens". Przed laty była to kawiarnia, wzorowana na paryskiej „Rotondzie". Henryk Zille, Tomasz Mann, Emil Jannigs, byli tu w swej młodości stałymi gośćmi. Dziś, idąc z biegiem czasu, właściciel przebudował lokal swój, tworząc typowe berlińskie „Cafe", gdzie można wieczorem zatańczyć i za tanie pieniądze zabawić się. Natomiast dawni goście tej kawiarni przesiedlili się do pobliskiego „Romanisches Cafe" albo kawiarni Reimanna. Sama ulica Kurfürstendamm jest najdłuższą ulicą Berlina (5 km.). Na skrzyżowaniach, przy Joachimsthalerstrasse, Uhlandstr. i Wilmersdorferstr ruch uliczny osiąga swój punkt kulminacyjny.

Godzina dziesiąta wieczór oznacza powszechną mobilizację publiczności i aut na Kurfürstendamm. Rozpoczyna się godzina kawiarń. Lokale, o dziwo, mimo kryzysu, zapełniają się szczelnie. Niema wolnego stolika. Kuchnie, w stylu amerykańskim, jak „Roberts", albo „Quick" karmią swemi automatami niezawsze za tanie pieniądze przybyszów. Wielkie miasta automatyzują nawet konsumcję.

W kawiarniach miesza się różnorakie towarzystwo. Przy stolikach siedzą wyfraczeni przemysłowcy, mieszczuchy i... aferzyści. To ostatnie towarzystwo wyróżnia się specjalną elegancją. Przy pomocy usłużnego kelnera można dostać „koks". Niewinny biały proszek: kokainę.

Blady świt wygania kotłującą ciżbę z lokali. Jedni, nieliczni jadą do domu. Większość jednak znika w lokalach, których życie rozpoczyna się dopiero o godz. 3 nad ranem, t. zw. „Nachtbetrieb". — I tu kończy się nocne życie Kurfürstendammu.

Zygmunt Schindler.









Dzielnica „Kurfürstendamm" w Berlinie. Widok z lotu ptaka.

Na prawo: Najpopularniejszym człowiekiem Berlina jest bezwątpienia prez. Hindenburg, który obecnie ponownie kandyduje. Zdjęcie przedstawia prez. Hindenburga, witającego się ze swoimi wnukami.

W owalu: Obok wyboru prezydenta Rzeszy centralnem zagadnieniem Berlińczyków jest w ostatnich tygodniach strajk piwny. Na piwo nałożono bowiem opłaty skarbowe, dzięki czemu stało się ono bardzo drogie i niedostępne dla zubożałej ludności. Aby zaprotestować przeciwko tym opłatom, zarówno właściciele restauracyj, jak i konsumenci proklamowali strajk, polegający na wstrzymaniu się od sprzedaży i picia piwa i w rezultacie wywalczyli pewne ulgi. Zdjęcie przedstawia piwiarnię berlińską, zamienioną na winiarnię.

Poniżej: Obecnie Berlin wrócił do przedwojennego zwyczaju uroczystego zaciągania warty, przy odgłosie muzyki wojskowej. Zdjęcie przedstawia przemarsz warty pod bramą brandenburską.

RĘCZNA ROBÓTKA — WIERNA PRZYJACIÓŁKA.

Robótka ręczna była przez długie, długie wieki nieodstępną towarzyszką kobiety, zamkniętej w kole życia rodzinnego. Gdy jednak przyszła chwila dziejowa, w której kobieta stanęła na równi z mężczyzną do pracy zawodowej na wszelkich polach, wypadła jej z rąk dawna nieodstępna towarzyszka, robótka ręczna. Zdawało się nawet, że — porzucona — nie wróci nigdy do łask współczesnej kobiety, zwłaszcza, że fabryczne koronki i hafty doszły do takiej doskonałości, iż z powodzeniem zastępować poczęły ręczne roboty.

Nie przetrwały jednak takiej próby czasu, aby nasze panie wyrzec się miały zupełnie przyjemności urządzania swych domów wedle swego oryginalnego gustu. Wrodzony smak artystyczny nie zadowala się fabrycznym szablonem. To też wystąpiły ogólnie tendencje powrotu do robótek ręcznych. Piękne panie zatęskniły poprostu do pięknej ręcznej robótki — wiernej przyjaciółki długich, długich lat!

A że wśród rozlicznych zajęć niewiele zostaje wolnego czasu, więc wykonywane dziś serwetki, poduszki i t. p. nie mają cech żmudnej pracy. Są to twory fantazji o łatwej technice wykonania, mogące jednak wywołać piękne i malownicze efekty.

Trochę kolorowej włóczki lub lśniących jedwabnych nitek, jakieś bezużyteczne wzorzyste gałganki, resztki materjałów jedwabnych czy wełnianych... a powstają w zręcznych rączkach prawdziwe cacka wytwornego smaku i gustu, które zdobią mieszkanie równie pięknie jak doniczki z zielonemi roślinami lub świeże kwiaty w wazonach!



I nie żal doprawdy czasu poświęconego tym uroczym drobiazgom! Nie żal! Tem więcej, że w nerwowym trybie współczesnego życia, jakże mało zostaje czasu na chwilę wypoczynku, czy swobodnego sam na sam ze sobą... dla odprężenia nerwów i myśli, zaabsorbowanych tylu sprawami!

Robótka ręczna daje ku temu doskonałą sposobność. To najwierniejsza przyjaciółka i powiernica najtajniejszych zwierzeń, która nie zdradziła nigdy okazanego jej zaufania!

Leżą po muzeach i skarbcach wspaniałe dzieła rąk pracy kobiecej z przed lat i wieków... Spróbujcie odczytać z nich tajemnicę rąk, które je wykonywały, oczu, które latami śledziły ścieg za ściegiem, gdy pracowite dłonie haftowały wszystkiemi kolorami tęczy i złotem i srebrem i perłami....

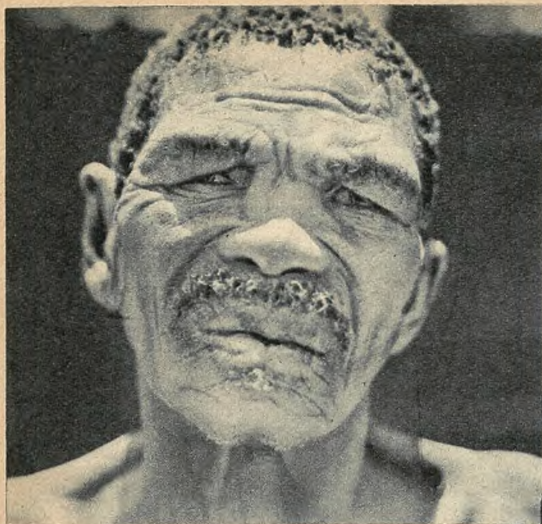
Nic nie zerwie tajemnicy ich milczenia!

Czyż wobec tylu zalet robótki ręcznej można się dziwić, iż święcić poczyna obecnie okres swego renesansu?...

W. W.

TRZY EFEKTOWNE SERWETY NA STÓŁ. Do wykonania serwet najlepiej używać grubego białego lub szarego płótna, na którem haft kolorowy wygląda bardzo korzystnie. Serweta pierwsza u góry ozdobiona jest bogatym wzorem kwiatowym (margeritki), wykonanym łatwym ściegiem. Obok poduszka z tym samym wzorem. Serweta druga, wyszywana grubym kordonkiem kolorowym, jest bardzo łatwa do wykonania, a bardzo efektownie się przedstawia. Trzecia serweta, wraz z odpowiednią poduszką wyszywana jest w zygzakowaty deseń haftowany i dziergany w kilka odcieni jednego koloru, dostosowanego do wnętrza pokoju.

Poniżej: PIĘKNE PODUSZKI, WYKONANE RÓŻNEMI SPOSOBAMI. Dwie włóczkowe wymagają znajomości techniki włóczkowej szydełkiem i na deseczce. Włóczka, w połączeniu z lśniącym jedwabiem, daje bardzo ładne efekty, co specjalnie we wzorach, wykonywanych na deseczce, korzystnie daje się zastosować. — Dwie następne poduszki, haftowane jedwabiem kolorowym na jedwabiu, pięknie wyglądają na stylowej kanapie. Wzory nie trudne do wykonania, a jednak bardzo efektowne. — Poduszki leżące powyżej nadają się do mebli skromniejszych, pierwsza z nich, wyszywana płaskim ściegiem na kanwie w modernistyczny wzór, wymaga umiejętnego dobr[illegible] kolorów.

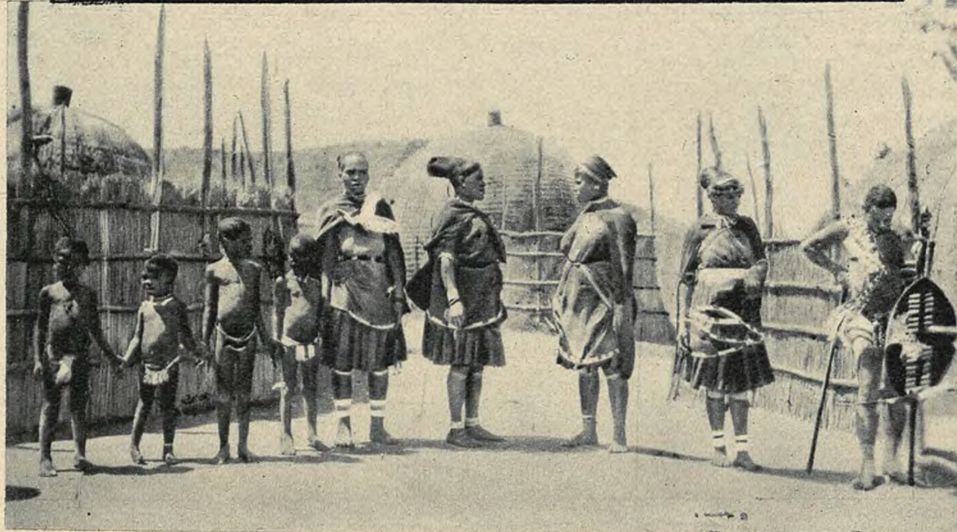


ZULUSI



Stary Hotentot ze szczepu Gonakua. Hotentoci, mieszkańcy Afryki południowej zostali ze swoich pierwotnych siedzib prawie zupełnie wyparci przez Zulusów i żyją obecnie w kraju Przylądkowym.

Tancerz zuluski w nakryciu z piór.



Wioska zuluska — na pierwszym planie kobiety z dziećmi.

Z pośród plemion kafryjskich, zamieszkujących połudn. Afrykę, a należących do wielkiej grupy językowej „Bantu", najważniejszymi są Zulusi, którzy dzięki swej wojowniczości i dobrej organizacji wojskowej, nie tylko swym sąsiadom, ale i Europejczykom dawali się nieraz dobrze we znaki. Trudnią się oni uprawą roli, ale w najpierwotniejszej jej formie, nie znając bowiem pługa, posługują się wyłącznie kopaczką. I chów bydła jest u nich szeroko rozpowszechniony, mimo to jednak używają do pracy na roli zamiast zwierząt, wyłącznie kobiet i dziewcząt. Zulusi są też i dobrymi myśliwymi, ale polowanie nie stanowi u nich bynajmniej znaczniejszej podstawy bytu. Żyją w wioskach zwanych kralami, mieszkając w małych, z mat splecionych kopulastych domkach, przypominających zdaleka szeregi wielkich ulów. Zamiłowanie do strojenia się i ozdób, jest u Zulusów bardzo rozwinięte. Szczególniej mężczyźni dbać zwykli o swój wygląd zewnętrzny, przyczem przeważnie głowie poświęcają osobliwe starania i uwagę. Noszą też na głowie potężne pióropusze z długich piór strusich, a włosy splatają w dwa charakterystyczne, zwisające im z czoła warkocze. I kobiety lubują się w wyszukanych fryzurach, formując je zazwyczaj w długie, sterczące do góry cylindry. Zresztą zwykłą ozdobą kobiet stanowią szklane kolorowe perły europejskiego pochodzenia, z których umieją w niepozbawiony smaku sposób, sporządzać długie sznury wzorzyste przepaski, kolczyki, wisiorki itp. Podobnież żelazne lub miedziane obrączki stanowią częstą ozdobę obojga płci, przywdziewaną chętnie na ręce i nogi. Wreszcie i tatuowanie, malowanie i pokrywanie ciała bliznowatym rysunkiem uzupełnia garderobę zuluskich mężczyzn i kobiet.

Religijne wierzenia Zulusów polegają na czci duchów zmarłych przodków, a ciemny zabobon przenika od urodzenia aż do śmierci ich całe życie. Pośrednikami w stosunkach z cieniami zmarłych są u nich wróżbici, odgrywający z tego powodu w plemieniu bardzo znaczną rolę. Zamawiają oni i leczą choroby, odnajdują zaginione rzeczy, wskazują rzekomych sprawców niewykrytych przestępstw, sprowadzają deszcze, uczestniczą przy każdem przedsięwzięciu, a za zapłatą sprowadzają nawet nieszczęścia i klęski na przeciwników swego klijenta itd. Oczywiście polegają te ich praktyki na oszustwie i zręcznem wyzyskaniu bezgranicznej naiwności, pozbawionego wszelkiego krytycyzmu ludu, dowodzą jednak nieraz dużego sprytu i umiejętności sugestywnego oddziaływania na jego pierwotną psychikę.

Zulusi lubią bardzo muzykę i tańce, bez których też nie obejdzie się u nich nigdy żadne ważniejsze zdarzenie. Każdą też uroczystość uświetniają obfitem popijaniem krajowego piwa, którego nie szczędzi się również kobietom, a nawet małym dzieciom. Narodzenie się córki stanowi wielką uciechę domu, przybywa bowiem wartościowa siła robocza, którą niedługo wciągnie się do pracy, mniej za to radośnie witanem bywa urodzenie się syna. Bliźnięta są zawsze wielkiem zmartwieniem rodziców, bo według ludowych wierzeń jedno z nich musi mieć niewątpliwie naturę zwierzęcia. Dlatego zdarza się nieraz, że jedno z bliźniąt zostaje zabite, a w każdym razie, jeśli zdoła uniknąć nawet tego losu, to w przyszłości nie korzysta nigdy z pełni praw członków plemienia. Dojście do dojrzałości młodzieży płci obojga, obchodzonem bywa uroczyście, a poprzedza je pewnego rodzaju nowicjat, odbywany w ustronnych miejscach, w czasie którego poddaje się kandydatów różnym przykrym praktykom i uczy ich potrzebnych w przyszłości wiadomości.

Małżeństwa zawiera się w drodze kupna żony, przyczem przedwstępne formalności załatwiają umyślni pośrednicy. Wielożeństwo jest dozwolone, ale wobec wysokich cen płaconych bydłem za żonę — spotyka się dość rzadko. Tylko zamożniejsi naczelnicy pozwolić sobie mogą na ten luksus. Gdzie to jednakże ma miejsce, żyją ze sobą żony jednego męża w harmonijnej zgodzie, każda bowiem posiada osobną chatę i własne gospodarstwo, a mąż bywa tylko kolejnym ich gościem. To też każda z żon musi gotować osobno strawę dla wspólnego męża i zanosić mu ją tam, gdzie on chwilowo mieszka. Stąd małżonek, zjadający kilka obiadów równocześnie, nie ma powodów do narzekania na złe odżywianie, każda bowiem z pań stara się dogadzać mu, urozmaicając afrykańskie menu ulubionymi przysmakami w formie pieczonych gąsienic, szarańczy, glist lub termitów. Rozwody znane są oczywiście i u Zulusów, nie nadużywa się ich jednakże, bo zwrot wolności żonie pociąga obowiązek wydania zapłaconej za nią ceny, a tylko oddalenie jej bez powodu, prowadzi do przepadku uiszczonej ceny kupna. Za to złamanie małżeńskiej wierności karanem bywa surowo.

Nieboszczyków wyrzuca się zwykle w zarośla, albo topi w wodzie. Nieraz jednak zakopują też Zulusi zmarłych w ich własnej chacie, którą wówczas opuszcza reszta rodziny, albo też i mieszka dalej. Żałoba trwa pół — do jednego roku, poczem nie stoi nic na przeszkodzie wdowom do wstąpienia w ponowne małżeńskie związki.

mł.



Obok: Wódz wojowników zuluskich.

Wszystkie zdjęcia Agencji Francis C. Fuerst.



Sprzedaż pierników.

WILEŃSKI „KAZIUK"

Zaludniło się Wilno. Wąskie i ciche uliczki z prastaremi arkadami, zaległy sznury sań, wozików i półkoszek, landar pańskich i tarantasów.

Sznury pojazdów kołowały, cisnęły się, zawadzały wzajemnie, dążąc w kierunku placu Łukiskiego. — Jako rzeczułki drobne a wartkie giną w głębinie jeziora, tak też i karawany ludzkie i konne, wylawszy się na plac ogromny — pokołowały, pokręciły się, by wreszcie zająć miejsce w długim szeregu wózików, tyraljerą naprzeciw Święto Jakóbskiego kościoła stojących.

Plac Łukiski, rok cały cichy i w dnie targowe jedynie nieco ożywiony, stał się dziś państwem autonomicznem, od reszty miasta różnem i oddzielonem. Na dwa dni już bowiem przedtem zjechały tu przezorne kramiki, by miejsce odpowiednie wyszukać i z chudobą wygodnie się tu rozłożyć na Kaziukowe gody

Wzrosły na obszernym placu uliczki wąskie i kręte, wśród kramów płóciennych i bud na wozach rozpiętych, labirynty przejść i pasaży w gmatwaninie pojazdów najróżnorodniejszego typu i konstrukcji.

A więc tu, gdzie aleja lipek młodych szeroki szpaler tworzy, stanęli garncarze... Ci z Głębokiego — mistrze gliniarskiej sztuki, wśród zwałów garnków, miednic, wazoników i „cacek" tych przeróżnych a wielce pięknych. A „cacek" tych różnorodność wielka.

A on-że-ej ten bad dziwaczny gębulka — to i do djabła podobna, a ogon to i Boże odpuść, widno kurzy ci jaki.

A ten niby frant miastowy, rogata czapka, wąs pański, wiadomo co Twardowski, co to siłom nieczystym duszę zaprzedał.
i inna jarzyna, aż w okach się mieni, takie to kolorowa wszystka, a tu co taki
I ta inna, co i zapamiętać. A tam dalej, to „ławki fruktowe" — jabłki, bulby szmat bab sie toczy.

Wiadomo dlaczego. — Baleje, cebra i ta wszystka „pasuda" gospodarska, kupić można.

— Kumeńka, a kumeńka ci widziałasz, taka baleja trzy złota...

— Nadto ona droga.

— Nie droga, nie droga, paniusieczka, a dobra... a, a!! —

A tu znowu targ na wyroby bednarskie. — Balje, kubły, cebry, koryta, łubianki i kosze.

A tam dalej, poza kramem, na którym stoi samowar, dyszący jak astmatyk i do którego zasugerowani napisem „Arbata 10 gr." cisną się ludzie, widnieje szereg kramów i straganów z zabawkami, galanterją i norymberszczyzną.

Barwnie tu i wesoło. Tu bębenek pobrzękuje, tu dzwoni kołatanka, tam nakręcony ochrypły gramofon woła rozpaczliwie klijentelę piosenką: „Oj! nie odchodź odemnie...".

Zaraz za straganami z zabawkami zaczyna się kulinarne Eldorado.

Kiełbasy długie jak wieczność, w sposób zrezygnowany zwisają na drągach masarza, szynki różowe, jak ciała bachantek Rubensa, sterty słonin i wędlin, których widok i zapach działa na nerwy wszystkim przedstawicielom rodu psiego, z czterech sąsiednich powiatów, a tu znów „arbata" i bułki i kukiełki i „suszki" smorgońskie...

Pod sztachetami w koszach i skrzynkach rozsiadł się targ na drobięta. — Króliki białe, jak dusza dziewicza, z rubinowemi oczkami, gołębie napuszone i zarozumiałe, świnki „zamorskie" i sowa w klatce...

Tam na sztachetach wiszą klateczki z kanarkami, a dalej wieśniak jakiś zachwala skórę wilczą.

Poza straganami, gdzie sprzedają się cukierki, o tęczowych barwach i podejrzanej konsystencji, widnieje szereg sań i wozów.

Każdy wehikuł oblegany jest przez skrzętne gospodynie i pulchne kucharki, targujące nabiał i wiejskie produkty.

Na szczycie wozu, jak na baszcie feudalnego zamku, siedzi chłop w kożuchu, zapewniając wszem wobec, że takich jaj i serów już u niego, nie było od załamania się dynastji Romanowych i nie będzie na całym terenie ziem północno-wschodnich Rzeczypospolitej. A tam, skąd zapach skór i dziegciu dolatuje, zasiadł rymarz tatarzyn.

Pusto jest teraz wokół jego kramiku, bo ludzie czem innem zajęci... ale potem przybędą po zakupy, po hołobla, po podsiedziałek, po lelje, albo i uzdeczka... Narazie tatarczuk pali papierosa, a ładna tatarka z dna wozu produkty jakieś dobywa... Jakaż ona ładna, z tą główką okrągłą, gładko przyczesaną, z temi kosemi czarnemi ślipiętami.

— Alla hu! Bóg jeden.

Idźmy dalej.

Tuż pod płotkami zasiadły babki zielarki. Baby mądre, na leczeniu się znające, a ziółka i leki gadzinowe, na wszystkie sposobne, mające. Więc te kwiecia dziewanny, gdy kto zgrzany nadto, wiele był wypiwszy.

Więc ten kwiat lipowy na trzęsienie...

Więc ta szałwia, co zmysły odbiera...

Więc ruta, co siłę taką daje, że i bazyliszka pokonasz i korzeń łopianu.. I lubczyk, ziele tajemne, a w pełni miesiąca rwane, co to do amorów ochotę daje...

I te wszystkie, kto je pozna i przeliczy.

— A gad ten żmijowy, co w szklanka siedzi — to nie śmiej sia pan — na płucna choroba bardzo pomocny.

Szare, jak samo ziele suszone, zasiadły babki zielarki, jak wypłowiałe figurynki i panopticum średniowiecza...

— — — — — — — — —

Kaziukowe gody.

Jarmark Kaziukowy.

Kaziukowe tradycyjne kiermasze, stanowiące jedno ze świąt ludowych Wilna, czczone i szanowane, z namaszczeniem odprawiane.

Poczęte w odległych stuleciach w dzień rocznicy kanonizacji Świętego Królewicza, wspaniałem teatrum religijnem przez OO. Bernardynów inicjowanym, po dziś dzień zachowały się w odmiennej nieco formie. W XIX stuleciu urządzane na placu Katedralnym, na miejscu dziś istniejącego skweru, były kiermasze Kaziukowe zjazdem handlarzy dzieł sztuki i antykwarjuszy.

W. Syrokomla-Kondratowicz, opisując Kaziuk w „Kurjerze Litewskim", wspomina o rzeźbach z Carryjskich marmurów, o galerjach obrazów i rewji mód, które inicjowały nasze prababki, dziś Kaziuk występuje w skromniejszej szacie.

Piękne panie miast Hebe carraryjskiej kupują dziesiątek jaj, przekupień miast rzekomego Rembrandta zachwala „Ecce homo" w oleodruku i w pąsowej szacie...

Niezmienione pozostały tylko babki zielarki i prześliczne, o formach prastarych (może epoką tryglodytu pamiętające) wyroby ceramiczne.

— — — — — — — — —

Kaziuk ma się ku końcowi. Jeszcze tu i ówdzie kołacze się jakaś para przekupniów, tu i tam kramnik jakiś sklepik swój rozkłada... a tam... to scena rodzinna. Niewiasta jakaś usiłuje utrzymać swego męża w pozycji pionowej wołając:

— Antoluk! ty pijany prachwost...

On zaś poetycznie nastrojony śpiewa:

„Prylatieli husi...
dy z pod Biełarusi...

Ponieważ żona staje się coraz bardziej agresywną, a mąż nieustępliwym, pozostawmy ich samych...

Tu przy kolasce szlachta zagrodowa strzemiennego zapija, przed odjazdem...

— W ręce waćpana perswaduję.

— Bynajmniej...

I pojechali.

Del. (Wilno).

WSZYSTKIE ZDJĘCIA J. BUŁHAK, WILNO.

Poniżej: Widok ogólny wielkiego wiosennego jarmarku, zwanego „Kaziukiem", odbywającego się tradycyjnie 4. marca.



Szarada.

(ul. Wiktor Per, czł. Warsz. Kl. Szar.).

W dzisiejszej dobie wszystkie panie,
Choć nawet bardzo **trzecie-czwarte,** —
To obrzydliwe mają zdanie:
Że długie włosy nic nie warte!
Im na to powiem parę słówek:
Że myślą tak li główki puste, —
Więc wolę zawsze od tych główek
Się trzymać **pierwsze-ósme-szóste...**
Pamiętam — w **siódmym-piątym-drugim**
Spotkałem pannę jak djament,
Buziaczek śliczny, z noskiem długim,
Co zdradza pono... temperament!...
Nie czeka — myślę — mnie wszak **szósta-Dziewiąta,** gdy się ucałuje
Ją w białą szyjkę, no i... usta, —
W ten sposób zwykle się flirtuje...
Golonej szyjki dotykając,
Przyjemność taką samą miałem:
Jak gdyby się na płci nie znając,
Policzek męski całowałem!...

Za rozwiązanie powyższej szarady redakcja „Swiatowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 40, druga zł. 25, trzecia zł. 15.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 19-go marca 1932 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 8

W karnawale śluby, bale, a potem gorzkie żale.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 8 nadesłali:

Miecz. Rychtel, Piotrków; W. de Lippa, Warszawa; J. Jaworzyński, Kraków; Zdz. Wójcik, Kraków; Z. Szmandzianka, Gniezno; Cz. Giersztówna, Gniezno; J. Kowalczykówna, Łódź; Tadeusz Neumann, Drohobycz; Jack Heiber, Drohobycz; Franc. Gierałt; Ir. Cuevasówna, Łęczyca; J. Lewenstein, Warszawa; St. Rakowski, Poznań; Fr. Dobrowolska, Toruń; Al. Lorenzówna, Toruń; M. Poćwiardowska, Toruń; Z. Rusiówna, Kraków; H. Gerhardt, Kraków; A. Kamionka, Kraków; A. Nadolska, Rydułtowy; B. Morawski, Katowice; A. Hauschildowa, Nowy Targ; J. Pająk, Nowy Targ; Fr. Hamerlak, Żory; E. Pasierb, Tarnów; Janusz Roman, Warszawa; W. H. Dubno; St. Weissberg, Rzeszów; Tad. Dadej, Warszawa; J. Zawadzka, Warszawa; R. Chromiński, Łuck; Miecz. Pietrasz, Wilno; T. Gołda, Zator; A. Kostrzewska, Łódź; H. Hajnowa, Poznań; E. Broniewski, Ostrowiec; St. Rybarczyk, Czarnków; K. Słysz, Kraków; J. Maćkowiak, Krzywin; A. Szuksta, Warszawa; F. Zatorska, Warszawa; K. Hanus, Nadwórna; M. Kubiczowa, Poznań; St. Karolewicz, Warszawa; T. Szancer, Przemyśl; Aug. Nowicka, Kraków; A. Zimmermann, Stryj; A. Kolasińska, Tarnobrzeg; M. Lesiuk, Lwów; J. Miodowiczówna, Gniezno; „Jawnuta", Słonim; Z. Harnosiówna, Pabjanice; Eug. Downarowicz, Lwów; dr. Hr. Schnepf, Jasło; Stan. Szydłowska, Warszawa; „Władek z Józkiem", Wadowice; A. Klohes, Kraków; J. Gruszka, Kraków; L. Jakubowski, Kraków; K. Koperkiewicz, Sambor; A. Rotter, Kraków; K. Kugler, Bydgoszcz; J. Rogowski, Warszawa; C. Rączkówna, Łódź; „Dzikuska"; St. Kowalski, Pińczów; Wład. Gąsienica, Zakopane; M. Pecher, Nadwórna; Ign. Bies, Zakopane; W. Tyblewski, Poznań; Ir. Hermanówna, Ostrów; J. Dobrowolska, Toruń; dr. Lipowski, Zawichost; M. Lambachowa, Lublin; Br. Ramułtowa, Jeżów; F. Gasiński, Zawiercie; L. Bronner, Kraków; H. Priesentówna, Czerwionka; M. Zapiór, Kraków; R. Fojcikówna, Głożyny; Br. Sedlaczek, Kraków; „Maryśka z Pohulanki"; M. Bigajski, Warszawa; Kaz. Rzepka, Nowy Targ; St. Kudasik, Nowy Targ; H. Frankowska, Bitków; T. Kretkowski, Warszawa; F. Rumian, Kraków; S. Kupfer, Bielsko; St. Heyman, Częstochowa; L. Pogoda, Jaworzno; Z. Pieracki, Wilno; A. Słabczyński, Lwów; R. Szreniawa, Toruń; A. Talar, Zakopane; J. Tippowa, Rawicz; K. Wilczek, Kraków; A. L. Ordza, Kraków; J. Zielenkiewicz, Kraków; kpt. J. Sosenko, Dąbrowa; H. Zasztowtowa, Katowice; W. Ząbkiewiczówna, Lesko; J. Manber, Kraków; por. Fr. Podgórecki, Katowice; A. Szmytowa, Poznań; Z. Ajszpurowa — J. Ajszpur — P. Sokołowski, z Królewszczyzny; J. Głuchowska, Pińczów; **Marja Świerczykówna, Poznań (zł. 40.—);** W. Pędzimąż, Zakopane; D. Dobrowolski, Warszawa; W. Ossowiczowa, Piastów; L. Zawadzki, Lwów; Al. Sumiński, Wólka; K. Haluch, Lwów; M. Żuchiewicz, Ostrowiec; M. Tyszkiewiczówna, Zakopane; L. Świerczyński, Lwów; K. Pająk, Targanica; „Tu-Nol", Komorowo; J. Stupka, Kraków; T. Bromirski, Kobierzyn; R. Dergiman, Wilno; M. Sipowiczówna, Łuniniec; Wł. Sowa, Dąbrowa Górnicza; A. Alkoff, Warszawa; Stan. Pretkielowa, Warszawa; por. Edward Kreyzer, Warszawa; M. Pacześniowska, Katowice; M. Szternówna, Słonim; M. Pułkowa, Żywiec; Eug. Komorowicz, Jędrzejów; Fr. Opitz, Pateraki; F. Janota, Katowice; M. Prądzyńska, Wągrowice; Wł. Gajowa, Poznań; J. Szemla, Kraków; Ir. Giersztówna, Gniezno; H. Jarecka, Kalisz; J. Bielesz, Kraków; M. Kurzweilowa, Kraków; „Głupi ma szczęście", Kraków; M. Urbanówna, Kraków; St. Bąkowski, Kraków; „Veritas vinicit 777"; „Ceśka", Kraków; St. Gosłowski, Kawenczyn; „Alila", Warszawa; J. Janosik, Łask; Fred. Negar; „Jaśka z Jaśkiem", Kraków; Z. Korzeniowski, Andrychów; A. Kempińska, Kalisz; T. Nehryczenko, Kraków; J. Krzyżaniak, Poznań; J. Ruta, Wieluń; Iruśka F., Kielce; Eug. Leonowiczówna, Berezno; St. Linczewski, Lwów; M. Steculanka, Kalisz; M. Łukomski, Glinojeck; H. Sobkiewiczówna, Poznań; Zdz. Fischbach, Ostrów; Al. Wróblewska, Inowrocław; E. Uuverricht, Pawłów; T. Ligięzianka, Nakło; T. Jarosławski, Witaszyce; Igo Alembik, Dzietrzkowice; kpt. J. Kapłon, Kraków; por. Br. Bubnicki, Kraków; T. Kubasiewicz, Łódź; K. Uljańska, Częstochowa; J. Krauzówna, Warszawa; E. Medvey, Krzeszowice; K. Puchowicz, Warszawa; J. Pelcówna, Królewska Huta; J. Strauss, Wilno; por. Peszkowski, Brześć; H. Chmielewska, Starogard; B. Szmidt, Dąbrowa Górn.; H. Weinberger, Pilzno; J. Siedlecki, Warszawa; H. Smok, Kraków; J. Wójtowicz, Kościelisko; kpt. T. Pszczonczak, Kraków; T. Sobecki, Poznań; H. Zadarnowski, Dubno; Gicia Krajewski, Żabno; J. Drabik, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa;; Stan. Mikowska, Warszawa; Z. Zapolska, Sobieszyn; H. Sokołowska, Wysocin; W. Siuta, Kołomyja; A. Świda, Warszawa; Eug. Zińczuk, Uściług; plut. M. Dzymko, Podbrodzie; H. Wolski, Szczebrzeszyn; Z. Łabęcki, Tarnowskie Góry; L. Siuda, Poznań; E. Gałczyńska, Włocławek; J. Partyka, Wilno; **K. Moszkowska, Wodzisław (zł. 25.—);** J. Drewnicka, Lwów; Ant. Schokówna, Kraków; Edw. Kozłowski, Poznań; Wład. Uzar, Kraków; A. Sapiński, Łódź; Eug. Gorodecki, Częstochowa; Mich. Schmidt, Lwów; W. Machlejdówna, Warszawa; T. Stpiczyński, Włocławek; J. Makosikówna, Leżajsk; pchor. Ładarew Paweł, Bydgoszcz; dr. D. Lantner, Tarnów; M. B. Kraków XXII; M. Cybulska, Sosnowiec; Z. Jedlińska, Łańcut; T. Żychliński, Lwów; E. Kostyrkówna, Jarosław; E. Rozenberżanka, Brzeziny; J. Gertowska, Konstantynów; H. Andruszewiczowa, Warszawa; W. Maciejewski, Luboml; „Es-Pe", Turek; M. Gorzecka, Kraków; A. Duda, Zielonki; Wład. Pudło, Nowy Sącz; J. Siutówna, Kraków; Cz. Kalitowski, Kraków; J. Pągowski, Kraków; dr. Urbański, Gniezno; T. Ligięzińska, Nakło; G. Gurska, Nakło; J. Sierpniak, Inowrocław; W. Jankszówna, Otorowo; H. Wasielewski, Ostrów; K. Kubiakówna, Ostrów; Elż. Szumlakowska, Jaroskaw; Jurek z Królewszczyzny; Halka z Królewszczyzny; Br. Godziszewska, Mołodeczno; por. St. Godziszewski, Mołodeczno; Z. Mikołajewska, Radomsko; M. Maciejewska, Królewska, Huta; D. Bartnicka, Pabjanice; M. Taras, Stryj; J. Sapińska, Warszawa; St. i Kr. Stanisławów; F. Langerówna, Nowy Ttrg; Bog. Czech, Warszawa; Sz. Rybczyk, Rzeszów; A. Jakubowska, Piastów; Włodz. Graetzer, Bydgoszcz; R. Stollerowa, Nowy Targ; Kaz. Wzorek, Stryj; Wład. Milianowicz, Jarosław; A. Turowicz, Płock; H. Hilgier, Toruń; M. Moszyńska, Lwów; Z. Chortyńska, Lwów; „Ikar", Lwów; J. Makowska, Warszawa; H. Paprocki, Warszawa; „Uczennice I. klasy", Kraków; J. Waniek, Kraków; St. Sekułowiczowa, Nowy Sącz; Kaz. Troskiewicz, Lwów; R. Goliński, Czortków; P. Karszo-Chmielewski, Warszawa; Trąbczyński, Łódź; „Orlando", Zborów; Mich. Kozłowska, Nowy Sącz; Iza Frezerowa, Ossówiec; L. Nieczuja-Ihnatowicz, Gdynia; „Władek z Jaworzna"; Tad. Larek, Śmigiel; Aleks. Kostyrka, Brześć; M. Drzewińska, Dubiecko; „Wielkopolanka"; St. Leszczyński, Sosnowiec; Kaz. Jurkiewicz, Śniatyn; W. Mączka, Tarnobrzeg; Al. Pertkiewiczówna, Częstochowa; R. Ossowska, Bydgoszcz; W. Kunz, Lwów; Z. Boulange, Baczków; „Irena", Kraków; ks. L. Klementowski, Tarnopol; W. Raczyńska, Kraków; J. Maziarz, Kraków; O. Ofiok, Pribram; I. Wisławska, Bydgoszcz; D. Piekosińska, Słotwina; M. Cesarczyk, Kraków; A. Piekosińska, Słotwina; Z. Cesarczyk, Kraków; Stan. Mucha, Kraków; Ir. Muszyna, Kraków; T. Rakowska, Poznań; Wład. Iwaszek, Trzemeszno; F. Janota, Katowice; „Ofiara kryzysu"; B. Bieńkowski, Lublin; M. Rundowa, Bielsko; B. Bytomski, Cieszyn; L. Domański, Kowal; M, Waksmundzka, Jasło; H. Florek, Gromnik; K. Kozikowski, Lwów; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; S. Uzdański, Warszawa; I. Antonowiczowa, Równe Woł.; L. Gąsiorowiczowa, Łęczyca; B. Morgenbesser, Łoszniów; M. Jouganówna, Stryj; St. Srebrna, Warszawa; L. Moczyński, Wilno; **Eugenja Wachowiczówna, Niwiski zł. 15.—);** D. Bielecka, Ludwikowo; Zabłocka, Łask; J. Korzeniowski, Chrzanów; Kaz. Śliwa, Kraków; H. Turowiczowa, Kraków; Wł. Goettel, Jaworzno; Z. Wieczorkowa, Tarnobrzeg; J. Brzycka, Hałcnów; „Antek Cwaniak", Kielce; Stan. Dobrzycki, Otyka; „Azdroła", Kraków; A. Kusiak, Kraków; St. Kociałkowska, Poznań; Z. Wołoszynówna, Woszczyce; Ir. Wyderkowska, Poznań; dr. J. Woźniak, Poznań; T. Sobolewski, Września; W. Komorowska, Inowrocław; Ign. Jakubowski, Poznań; Błażejewicz, Poznań; J. Krupa, Kraków; M. Baranikowa, Kraków; P. Wolakiewicz, Kraków; Eug. Kowalski, Zakopane; Mich. Wysocka, Warszawa; M. Kubiczowa, Poznań; St. Trzos, Poznań; ks. Massalski, Zakopane; M. Lewicka, Wojniłów; Tolek S., Warszawa; Al. Mola, Czechowice; A. Skrzywan, Warszawa; Ir. Jegorow, Częstochowa; J. Reiter, Zamość; K. Sztorc, Kraków; M. Kernówna, Nadwórna; L. Jaworzyńska, Kraków; Cz. Kozłowski, Warszawa; M. Pańczykówna, Łódź; W. Luxemburgowa, Płock; M. Widacka, Warszawa; D. Herbstmanówna, Warszawa; J. Maziarz, Ozorków; Wł. Iwaszek, Trzemeszno.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Marję Świerczykównę, Poznań (zł. 40.—), K. Moszkowską, Wodzisław (zł. 25.—) i Eugenję Wachowiczównę, Niwiski (zł. 15.—).

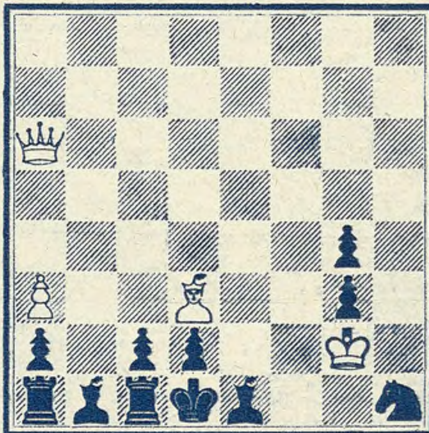
Redakcja „Światowida" wyżej wymienionym prześle nagrody niebawem.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

P. A. Orlimont („Wiene Schachztg." 1931).

Czarne: Kd1, Wa1c1, Gb1e1, Sh1, piony: a2, c2, d2, g3, g4 (11).



Białe: Kg2, Ha6 (2).
3-chodówka 2 + 11 = 13.
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki P. A. Orlimonta: 1. H—e6!

I. 1... K—e2 2. H—e4+ i 3. H—g4×;
II. 1... G—f2 2. H—c4 i 3. H—f1 wzgl. ×g4×;
III. 1... S—f2 2. H—e6 i 3. H×g 4×
1. H—c4? G—f2!; 1. H—e6? S—f2!

PARTJA

Białe: **Flohr** — Czarne: **Kołtanowski**

grana w turnieju międzynarodowym w Londynie w r. b. Pionem hetmana.

1. d4 S—f6	14. G—b1 S—a6
2. c4 c6	15. S—e1 **(3)** c5
3. S—f3 g6	16. d5 G—d7
4. S—c3 G—g7	17. f4 f6
5. e4 d6	18. f5 K—g8
6. h3 h6	19. g5 h×g5
7. G—e3 0—0	20. h×g5 K—f7
8. H—d2 K—h7	21. g×f6 G×f6
9. 0—0—0 H—a5? **(1)**	22. G—g5! **(4)** W×h1
10. g4 S—g8	23. W×h1 W—h8 **(5)**
11. G—d3 e5	24. W×h8 G×h8
12. Wd—g1 S—e7	25. H—h2! **Czarne poddały się.**
13. h4 W—h8 **(2)**	

UWAGI:

(1) Ten wadliwy system gry uprawia już od lat mistrz belgijski. Okazuje się i w tej partji, że Białe mając więcej trenu i ataku, jeśli grają energicznie muszą doprowadzić system gry przeciwnika ad absurdum.

(2) Strata tempa. Czarne obawiały się ofiary: 14. h5 g5 15. G×g5 h×g5 16. S×g5+ **poczem h6.**

(3) Zadaniem piona f jest otwarcie linji f do rozstrzygającego ciosu.

(4) Rozstrzyga.

(5) Prowadzi do utraty figury, lecz Czarne nie miały już wystarczającej obrony.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 11 upoważniający do losowania nagrody za rozwiązanie zagadek z dnia 12 marca 1932 r.

CI — KTÓRZY ODESZLI.

ZGON ARYSTYDESA BRIAND'A.

Dnia 7 marca zmarł na udar serca Arystydes Briand, wielokrotny premjer francuski i minister spraw zagranicznych. Ze zmarłym wchodzi do grobu jedna z najbardziej charakterystycznych postaci współczesnego życia politycznego, wizjoner, który horyzontami myślowemi ogarniał nietylko teraźniejszość, ale także i przyszłość, gorący zwolennik Stanów Zjednoczonych Europy, zdecydowany obrońca Ligi Narodów i nieustraszony szermierz pokoju. Nietylko dla Francji, ale dla całego świata był on też niejako symbolem pacyfizmu. Przed kilku miesiącami, przy rekonstrukcji gabinetu Lavala nie objął ponownie teki ministerstwa spraw zagranicznych, lecz złamany niemocą usunął się w zacisze domowe, nie mogąc jednak już powstrzymać ciosu śmierci. Ciężko dotkniętej Francji składa Polska z powodu śmierci Brianda wyrazy szczerego i głębokiego współczucia.



KS. BISKUP BANDURSKI NIE ŻYJE.

Okrutny marzec, który szczególnie ludziom chorym na serce daje się we znaki, położył kres życiu ks. biskupa dra Władysława Bandurskiego. Odszedł on w chwili, kiedy cała Polska święciła gody jego 25-letniej sakry biskupiej i kiedy cały naród składał mu hołd za ofiarną i bezinteresowną pracę dla dobra Ojczyzny, zarówno w latach niewoli, jak potem wojny, a wreszcie w zaraniu naszej niepodległości. Śp. ks. biskup Władysław Bandurski urodził się w r. 1865 w Sokalu. Studja filozoficzne i teologiczne odbywał we Lwowie i w Rzymie. Mianowany w 1906 r. biskupem-sufraganem we Lwowie, rozwinął żywą działalność patrjotyczną. Z wybuchem wojny stanął do pracy wojskowo-religijnej w Legjonach. W czasie wojny bolszewickiej ofiarował swój złoty krzyż, wysadzany brylantami i szmaragdami, oraz pierścień na skarb i wojsko polskie. W odwdzięką za to Ziemia Wileńska sprawiła mu nowy krzyż. Ostatnie lata swojego życia przepędził w Wilnie, gdzie też umarł dn. 6 marca na atak sercowy. Cześć pamięci Kapelana Niepodległej Polski!

TRAGICZNA ŚMIERĆ STRAŻNIKA KRESOWEGO

W tych dniach placówki Korp. Ochrony Pogranicza na granicy sowieckiej ujęły podejrzanego mężczyznę, przekradającego się przez zarośla. Wylegitymował się on jako Kluszczyk. Odprowadzono go do najbliższej placówki Korpusu Ochrony Pogranicza i stawiono przed komendantem por. Karbowskim, który zwrócił się do niego z żądaniem wydania broni. W odpowiedzi na to Kluszczyk wyciągnął z kieszeni rewolwer systemu „Nagan" i położył go na stole. Po chwili widząc, że zanosi się na rewizję osobistą, błyskawicznym ruchem dobył drugi rewolwer i strzelił do por. Karbowskiego, zabijając go na miejscu, oraz raniąc ciężko stojącego obok urzędnika policji, Edmunda Komorowskiego, który po godzinie także zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Po strzałach, Kluszczyk zbiegł i zniknął bez śladu. Zarządzony pościg, jak dotąd nie dał rezultatu. Nie ulega wątpliwości, że Kluszczyk był wysłannikiem sowieckim, powołanym do zorganizowania akcji wywrotowej w Polsce.





Śp. por. Wacław Karbowski (pierwszy od lewej) w Hnilicach Wielkich (powiat zbaraski) w towarzystwie kolegów.

Obok: Polska strażnica graniczna na granicy sowieckiej.

Całe to tragiczne zajście obrazuje w wymowny sposób, jak ciężką i odpowiedzialną służbę pełnią nasze straże graniczna na wschodniej rubieży Rzeczypospolitej, tam, gdzie kończy się cywilizacja europejska a zaczyna panowanie czerwonego teroru.

Śmierć por. Karbowskiego, człowieka młodego, przystojnego i rokującego jak najlepsze nadzieje, odbiła się żywem echem współczucia, wśród wszystkich, którzy go znali.

Cześć pamięci żołnierza, który zginął na posterunku!

„MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI".



Zdjęcie przedstawia uroczą artystkę teatru „Qui Pro Quo" w Warszawie, p. Ninę Grudzińską, która w ostatnim programie tego teatru p. t. „Miłe złego początki" zbiera oklaski za swoje piosenki cygańskie.

Fot. Brzozowski — Warszawa.